

JESSICA MATTHEWS

**Czas
ukojenia**

ROZDZIAŁ PIERWSZY

- To niemożliwe, po prostu niemożliwe.

Przyciskając do piersi stare pudełko po butach, wypełnione po brzegi czerwoną wstążką i innymi ozdobami na choinkę, Libby Brown zamarła w bezruchu. Stała w pokoju pielęgniarek, gdy dobiegł ją z korytarza łagodny męski głos, którego miała nadzieję więcej życia nie usłyszeć.

Próbując uspokoić przyspieszone bicie serca, wmawiała sobie, że pewnie zawodzi ją pamięć. Niemożliwe, by właśnie ten człowiek, który dziesięć lat wcześniej tak bardzo zmienił jej życie, nagle pojawił się właśnie tu, w szpitalu.

Nie ma powodu do obaw, myślała, przesuając się w stronę drzwi, żeby wyraźniej słyszeć rozmowę. Gdy wyrzała ostrożnie na korytarz, rozpoznała dwie z trzech zbliżających się osób. Pierwszą była Ann Lathrop, szefowa oddziału, której wylewność podkreślał uśmiech na stałe przylepiony do twarzy. Obok niej, ubrany w nieśmiertelny ciemny garnitur i białą koszulę z kolorowym krawatem, siedł Eldon Hanover, dyrektor administracyjny szpitala.

Libby skierowała wzrok na trzeciego uczestnika rozmowy. W granatowym garniturze wyglądał, podobnie jak Eldon, na trzydzieści parę lat. Klasyczne rysy i gęste włosy o miedzianym odcieniu, a także imponujący wzrost, przywołały kolejną falę wspomnień. Libby cofnęła się z nadzieją, że zdoła pozostać w ukryciu.

To jakiś koszmarny sen, pomyślała, przywierając plecami do ściany. Co, do diabła, robi tu Peter Caldwell? Właśnie tu, w Belleville, w stanie Nebraska?

Caldwell, którego poznała przed laty, ukończył wydział zarządzania. Bezwzględny i pozbawiony ludzkich uczuć, z pewnością stał u progu wielkiej kariery. Mimo że mało obchodziły ją szpitalne plotki, na pewno dotarłoby już do niej, że szykują się jakieś zmiany w zarządzie szpitala, gdyby to miała być prawda. Zazwyczaj nawet najmniejszy ruch na górze, który mógłby mieć wpływ na sprawy kadrowe, wywoływał falę spekulacji.

Może tylko składa tu wizytę? Ludzie z administracji różnych instytucji muszą przecież dzielić się doświadczeniem, podobnie jak lekarze, pielęgniarki i inni pracownicy szpitala.

Wszystkiego się dowiem od Joni Eller, pomyślała. Przecież najlepsza przyjaciółka trzyma rękę na pulsie szpitalnego życia z takim samym przejęciem, z jakim Libby dba o pacjentów.

Ludzie na korytarzu zbliżyli się niebezpiecznie blisko. Choć Libby nie zwykła chować głowy w piasek i w głębi duszy kociło ją, by stawić czoło nowemu wyzwaniu, wiedziała, że tym razem, ze względu na dobro syna, nie może ulec pokusie.

Odetchnęła głęboko i wyszła na korytarz z pochyloną głową, po czym szybko skręciła w prawo, nie patrząc w bok. Wprawdzie idąc w przeciwnym kierunku, szybciej znalazłaby się przy łóżku pacjenta, jednak wolała pójść dłuższą drogą. Dopóki Caldwell przebywa na terenie szpitala, musi zrobić wszystko, żeby go nie spotkać.

Zatrzymał ją widok światełka mrugającego nad drzwiami jednej z sal. Co prawda jest już po dyżurze, lecz skoro wszyscy są zajęci, nie może pozwolić, by ktoś tak miły jak Ira Kendrick czekał na nadejście pielęgniarki.

- W czym mogę panu pomóc? - zapytała osiemdziesięcioletniego pacjenta, któremu zaledwie kilka dni wcześniej amputowano nogę poniżej kolana. Niestety, przy jego cukrzycy wrzód, który powstał na stopie, wywołał silną infekcję i leczenie bezinwazyjne nie przyniosło oczekiwanych efektów.

- Bardzo przepraszam za kłopot - powiedział z lekkim nie-

mieckim akcentem - ale upuściłem długopis. Potoczył się pod łóżko.

- Zaraz go odszukam. - Libby przykucnęła na podłodze i dostrzegłszy zgubę, podniosła ją i podała pacjentowi. - Proszę.

- Bardzo siostrze dziękuję.

- Może jeszcze mogę w. czymś pomóc?

- Dziękuję, mam wszystko. - Ira wrócił do rozwiązywania krzyżówki.

- Była już u pana ta fizjoterapeutka, o której wspominałam?

- Owszem. Ale powiedziałem jej, że w moim przypadku nie warto tracić czasu ani pieniędzy na zakładanie protezy. W domu opieki, gdzie mieszkam, i tak dam sobie radę. Poza tym - uśmiechnął się po szelmowsku - pani, której dotrzymuję towarzysztwa, też jeździ na wózku, więc po co mam się na nowo uczyć chodzić? Razem będzie nam raźniej.

Libby próbowała go zrozumieć.

- Gdyby jednak zmienił pan zdanie...

Poklepał jej dłoń.

- Nie ma obawy. A teraz, moje dziecko, biegnij do kogoś, kto cię naprawdę potrzebuje.

- To do zobaczenia jutro - powiedziała i uśmiechnęła się.

Ostrożnie otworzyła drzwi i rozejrzała się po korytarzu. Na szczęście był pusty. Odetchnąwszy z ulgą, ruszyła szybkim krokiem przed siebie i za kolejnym zakrętem nareszcie znalazła się pod odpowiednimi drzwiami.

- Już myślałem, że się rozmyśliłaś - mruknął Ralph Upton. Niestety, nie miał tak miłego usposobienia jak jej poprzedni pacjent.

- Coś mnie zatrzymało po drodze.

- Dlaczego zamykasz drzwi?

- Wydawało mi się, że nie lubisz, jak ktoś tu zagląda.

Blade źrenice Ralpha zwęziły się podejrzliwie.

- Ale będziesz tylko ubierać choinkę? Nie zamierzasz mnie myć ani nic z tych rzeczy?

- Przecież przyszedłam tylko z wizytą.

Postawiła pudełko na stoliku przy łóżku i zdjęła pokrywkę. Wesołe kolory choinkowych ozdób i myśl o zbliżających się świętach nieco poprawiły jej nastrój. Wyjęła wstążki, nożyczki, haczyki i paczuszkę miniaturowych bombek i wzięła się szybko do pracy.

- Chcesz mi pomóc?

Ralph pokręcił siwą głową, założył ręce na piersi i spojrzał na nią wzrokiem naburmuszonego dziecka.

- To był twój pomysł, więc sama się tym zajmij. Jeśli chodzi o święta, to ja już swoje zrobiłem. I co mi z tego przyszło?

- Nie przesadzaj - zaśmiała się Libby. - Fakt, że się trochę połamałeś, nie jest wystarczającym powodem, żeby zniechęcić Boże Narodzenie na całe życie. Wypadki chodzą po ludziach. Równie dobrze mogłeś się przewrócić, wychodząc z wanny, albo pośliznąć na oblodzonym chodniku.

-v Mogłem, ale sienie przewróciłem. Gdyby nie ten kretyński konkurs, nie leżałbym tutaj.

- Dobrze wiesz, że jesteś tu przez swój własny upór. W Komitecie organizacyjnym jest cała lista ochotników, którzy z największą radością udekorowałyby ci dom na święta. Wcale nie musiałeś włączyć na dach, i to jeszcze przy takim wietrze.

- Może jestem już stary, ale nie niedołączy.

- Oczywiście, że nie - próbowała go pocieszyć. - Tylko przychodzi w życiu taki moment, kiedy cięższe prace trzeba przekazać młodszym i sprawniejszym.

- Nikt mi się nie będzie płatał po domu. A gdyby to ktoś obcy spadł i zrobił sobie krzywdę, teraz mnie ciągaliby po sądach.

Libby powstrzymała się od dalszych komentarzy. Na gałązce zawiązała ostatnią czerwoną kokardkę i oceniła wyniki swej pracy.

- Jak ci się podoba moje dzieło? - zapytała.

Wyraz malujący się na udreżonej życiem twarzy Ralpha świadczył niezbicie, że jest zadowolony.

- Może być.

Libby nie dawała łatwo za wygraną.

- A może zawiązać jeszcze kilka kokardek? Mam w domu taką śliczną wstążeczkę w kropki.

- Wielkie nieba, dziewczyno, o czym ty mówisz? Wstążeczka w kropki, też coś? Jest ładnie tak, jak jest.

No, w końcu wydusił z siebie jakiś komplement. Libby wiedziała jednak, że na bardziej wylewną pochwałę ze strony Ralpha nie ma co liczyć. Zawsze był mrukliwy, lecz wkrótce zrozumiała, że jest to tylko sposób, by unikać zawierania bliższych znajomości. Odkąd zdała sobie z tego sprawę, nie szczydziła starań, by starszego pana uaktywnić.

Mimo że strasznie przy tym marudził i wyrzekał, wyraz dumy, który czasem gościł na jego twarzy, wskazywał, że rola przyszywanego dziadka dla jej synka, jaką mu narzuciła, i szacunek oraz przywiązanie, jakim go razem z Eyle'em darzyli, są dla Ralpha źródłem wielkiej radości. Musi tylko uważać, żeby nie starać się uszczęśliwić go na siłę.

Potarła dłonią podbródek.

- No, skoro jesteś pewien...

- Absolutnie - odparł stanowczo. - A poza tym nie rozumiem, po co uparłaś się ubierać choinkę, skoro jest dopiero piętnasty listopada. W dodatku mało kto zdążył już zdjąć ozdoby po Halloween. A przed nami jeszcze Święto Dziękczynienia.

- Masz rację. Zapomniałam o pierwszych osadnikach, o Indianach i o tym, jak uczcili pierwszy rok pobytu w Nowym Świecie. Zaraz zdejmę te kokardki i zamiast nich powieszę papierowe indyki. W porządku?

- Oszalałaś? Indyki na choince? Nic z tego! - Ralph aż ki-piał udawaną złością. Jak to zrobisz, nie zabiorę drzewka do domu. Dobrze sobie, indyki! Co ci jeszcze przyjdzie do głowy?

- Jeśli chodzi o ściśłość, w lutym są walentynki, potem Dzień Świętego Patryka, no i oczywiście Wielkanoc. A to zna-czy serduszka, kamyki, króliczki i pisanki.

- To niech już zostaną kokardki. - Ralph przyjrzał się jej spod przymrużonych powiek. - Z tym drobiem to był żart, prawda?

- A jak ci się wydaje? - odrzekła, uśmiechając się przekornie.

, - Wydaje mi się, że spędzasz za dużo czasu z tą wścibską Sylvia - mruknął niechętnie. - Odkąd się tu wprowadziła, nie jest tak jak dawniej. A to już pięć lat!

- Ale wyobraź sobie, jak by tu było nudno, gdyby nie ona.

- Tak sądzisz? Według mnie byłoby przynajmniej spokojnie.

Pod pretekstem ustawiania choinki w rogu pokoju, Libby odwróciła się, żeby ukryć uśmiech. Mając takich sąsiadów jak Ralph i Sylvia, którzy tylko czekali, by sobie coś wytknąć, nie mogła narzekać na nudę. Poza tym żywiła dziwne podejrzenie, że ich wzajemna niechęć jest mocno udawana.

- Właśnie taka choinka była tu potrzebna. Sam przyznasz, że od razu zrobiło się weselej.

- Tylko że dalej cuchnie - odrzekł Ralph.

- Chyba musiałeś też złamać nos przy upadku. Jeśli nie potrafisz odróżnić zapachu świeżej sosny od środka dezynfekcyjnego, to już nie moja wina.

- Dalej nie pojmuję, po co tyle zachodu. Przecież to drzewko wyschnie, zanim się stąd wyniosę.

- Bzdura. O ile wiem, wychodzisz już jutro, i gwarantuję ci, że drzewko przetrzyma następne dwadzieścia cztery godziny.

Ralph tylko mruknął coś w odpowiedzi.

- Poza tym mogłeś wyjść wcześniej, gdybyś tylko pozwolił mi zawiadomić syna.

- Za nic. Rozstaliśmy się dziesięć lat temu. Gdyby chciał się dowiedzieć, co u mnie słyszać, potrafiliby mnie znaleźć.

Zgodnie z tym, co twierdziła Sylvia, cały konflikt między ojcem i synem sprowadzał się do tego, że Upton junior odmówił kontynuowania rodzinnej tradycji murarskiej. Libby wiedziała, że Ralph boleśnie odczuwa brak kontaktów z synem.

Czasem zdradzał go wyraz oczu, szczególnie kiedy mały Kyle był w pobliżu. Widząc jego rosnące rozdrażnienie, zbliżyła się do łóżka.

- Nic cię nie boli? - zapytała, dotykając przy tym palców dłoni i nogi, sterczących z gipsowych opatrunków. Jednocześnie odtwarzała w myślach kliniczny obraz przypadku: pęknięta kość promieniowa przedramienia, szczęśliwie bez przemieszczeń, i nieco bardziej skomplikowane złamanie kości podudzia. Rękę udało się nastawić bez interwencji chirurgicznej, lecz w przypadku nogi operacja okazała się nieunikniona.

- Spuchło, prawda? - zauważył z sarkazmem, wpatrując się przy tym w sufit.

- Jak słyszę, od wczoraj humor ci się nie poprawił - powiedziała Sylvia Posy, która nieoczekiwanie pojawiła się w pokoju.

Libby odwróciła się do niej, a Ralph wymownie jęknął.

Nie zrażona brakiem entuzjazmu, Sylvia wkroczyła do środka, roztaczając wokół siebie zapach lawendy, i przysiadła na krześle obok łóżka. Na kołdrze postawiła niewielką puszkę.

- Pewnie dajesz się siostrze we znaki, więc przyniosłam twoje ulubione herbatniki, żeby cię trochę rozchmurzyć. Maślana z dodatkiem płatków owsianych.

Ralph wcisnął przycisk ustawiający materac w pozycji półsiedzącej.

- Trzeba było od razu tak mówić.

Libby mrugnęła do Sylvii porozumiewawczo.

- Zostawię was teraz samych.

- Pracujesz dziś do późna? - zapytała sąsiadka.

- Skończyłam dyżur pół godziny temu, ale zostałam dłużej, żeby ubrać Ralphowi drzewko.

- Ślicznie wygląda.

Libby podniosła pudełko.

- Muszę już lecieć. Obiecałam Kyle'owi, że zanim się ściemni, popracujemy trochę przy dekorowaniu domu. Poza tym chciałam porozmawiać z tym małżeństwem, które wprowadziło

się do starego domu Appeltonów, żeby namówić ich do udziału w konkursie.

- To nie małżeństwo, tylko facet z córką. I w dodatku nie robi najlepszego wrażenia - wtrącił Ralph.

Sylvia nie kryła zaskoczenia.

- A skąd ty możesz o tym wiedzieć, panie Zrzędo?

- Bo go widziałem, pani Wścibska. Musi mieć jakieś dziwne zajęcie, bo ledwie zdążyłem się przywitać, w kieszeni zadzwonił mu telefon, więc wszedł do środka, nawet nie mówiąc przepraszam. Kimkolwiek jest, nie będzie go tak łatwo namówić jak mnie.

Mając w pamięci tygodnie przekonywania Ralpha, by wziął udział w świątecznym współzawodnictwie, Libby raczej trudno było się zgodzić z tą opinią.

- Dołożę wszelkich starań, a na razie postaraj się przyzwoicie zachowywać. No to do jutra.

Wróciła do pokoju pielęgniarek, na biały uniform narzuciła wełniany, sięgający kolan płaszcz, chwyciła torebkę i prawie już puste pudełko na ozdoby, i ruszyła w kierunku schodów.

Przy jednej z wind zauważyła Joni, też już ubraną do wyjścia.

- Pracowałaś dzisiaj dłużej? - zapytała.

Twarz koleżanki rozjaśnił uśmiech.

- Musiałam wypełnić trochę papierków. Wiesz, jaka jest Rita.

Jako nietatowa pielęgniarka, Libby pracowała już prawie ze wszystkimi przełożonymi na większości oddziałów, także z lekarką, do której obecnie przypisana była Joni. Perfekcjonizm Rity był słynny w całym szpitalu. Z tego też powodu Libby nie przepadała za dyżurami na jej oddziale. Mimo że była pewna własnych umiejętności, nie czuła się najlepiej, gdy ktoś bez przerwy zaglądał jej przez ramię i zwracał uwagę przy każdym niedociągnięciu.

- A ty? - zagadnęła Joni.

- Zostałam, żeby odwiedzić sąsiada, który kilka dni temu pogruchotał sobie kości. A przy okazji: nie obiło ci się o uszy, że przyjmują kogoś nowego do administracji? Widziałam, jak Eldon Hanover oprowadzał kogoś po szpitalu.

. Libby miała nadzieję, że jej pytanie zabrzmiało naturalnie.

- O ile wiem, nie. To musiał być ten nowy lekarz, który ma pracować z Moore' em i Downeyem.

Libby uspokoiła się. Człowiek, którego znała, z pewnością nie żywił aż tyle współczucia dla innych, by zostać lekarzem.

- Wydaje mi się, że nazywa się Peter Caldwell - ciągnęła Joni.

Libby zeszywniała. Starając się opanować, powtarzała sobie, że w końcu wielu ludzi nosi takie samo imię i nazwisko. I to zwykły zbieg okoliczności, że nowy Caldwell jest podobny do mężczyzny, którego poznała przed laty.

- To podobno jakiś stary kumpel Hanovera. Doktor Caldwell ukończył zarządzanie, zanim zaczął studiować medycynę. Dopiero zeszłego lata ukończył staż.

Libby poczuła, że coś zaczyna ją dusić w gardle. To jednak on, ten sam Peter Caldwell, który starał się usprawiedliwić brak odpowiedzialności swojego kuzyna. Jak to możliwe, by życie było aż tak okrutne? Czyż ona sama i cała jej rodzina nie zapłacili wystarczającej ceny? Cały kontynent jest za mały, żeby oboje mogli w nim mieszkać, a co dopiero miasteczko z zaledwie trzydziestoma tysiącami mieszkańców! Poczuła nieprzyjemny skurcz serca.

- Ma przejąć pacjentów doktora Greenburga w przychodni. Mam nadzieję, że będzie łatwiejszy we współpracy niż Greenburg. Chodź, zjedziemy razem windą, to opowiem ci resztę plotek.

Libby zdobyła się na uśmiech.

- Możemy rozmawiać na schodach.

- To aż cztery piętra, a ja i tak nóg nie czuję. Miej litość - jęknęła Joni. - Chyba wytrzymasz te trzydzieści sekund?

Libby cierpiała na łagodną formę klaustrofobii i starała się unikać małych, zamkniętych pomieszczeń, ale też nie robiła tragedii, kiedy nie miała innego wyjścia. Zwykle schodziła po schodach, jednak nieszczęśliwy wyraz twarzy koleżanki sprawił, że przystała na jej propozycję.

- No dobrze. Ten jeden raz.

Kilka sekund później odezwał się dzwonek nad wejściem i winda zatrzymała się na ich piętrze. Na widok dwóch pasażerów, którzy ukazali się jej oczom, Libby poczuła się tak, jakby miała wkroczyć wprost do jaskini lwa. Na pierwszego z mężczyzn nie zwróciła uwagi, ale drugim był Peter Caldwell.

Wstrzymała oddech. Miała nadzieję, że mężczyźni wysiądą, ale żaden nie zrobił najmniejszego ruchu w kierunku wyjścia, a na dodatek Joni popchnęła ją do środka. Czując się tak, jakby miała nogi z ołowiu, Libby zrobiła krok naprzód i ukradkiem spojrzała na Caldwell. Co prawda, przybyło mu kilka pasemek siwych włosów, a wokół oczu pojawiły się drobne zmarszczki, jednak ogólnie niewiele się postarzał w ciągu tych niemal dziesięciu lat.

Mimo to miała wrażenie, że to niezupełnie ten sam człowiek. Owszem, nadal wydawał się bardzo pewny siebie, ale brak mu było dawnej zadziorności i nieprzejednania, a w oczach malował się jakby smutek. Czyżby życie przysporzyło mu pewnych problemów, na które ani majątek, ani nazwisko nie są wystarczającym lekarstwem?

Peter spojrzał przelotnie na Libby, ale nic nie wskazywało na to, by ją rozpoznał. Przynajmniej tyle dobrego, pomyślała, lecz na wszelki wypadek odwróciła się do niego plecami, mimo że prawdopodobieństwo, że ją sobie przypomni, było raczej niewielkie.

Od czasu tamtego dramatycznego spotkania-bardzo się zmieniła. Kręcone włosy opadają jej teraz na ramiona, zamiast okularów nosi szkła kontaktowe, a dzięki częstym spacerom z synkiem skóra przybrała śniady odcień. W dodatku aktywny tryb

CZAS UKOJENIA

życia sprawił, że straciła ponad dziesięć kilogramów i teraz sylwetkę ma wręcz idealną.

Tylko kolor włosów pozostawiła ten sam, gdyż płowy odcień, przypominający futerko łani, zawsze napawał ją dumą. Teraz jednak pożałowała swojej decyzji.

Lęk wyostrzył jej zmysły. Unoszący się w powietrzu zapach drzewa sandałowego i mydła może należeć tylko do tego mężczyzny.

Z zamyślenia wyrwał ją głos Eldona.

- Wiesz, że kilka tygodni temu spotkałem Toma Bozema? Pamiętasz go? Był w naszej grupie na kursie zarządzania w Kansas.

- Taki niski i pękaty?

- Właśnie.

Wprawdzie Joni wspomniała, że obaj mężczyźni studiowali niegdyś na tamtejszym uniwersytecie, to jednak fakt, że wspomnieli o tym teraz, spowodował, że poczuła się jeszcze bardziej niepewnie. Skoro Peter wrócił myślami do czasów studenckich, rozpozna ją na pewno.

Poczuła, że robi jej się słabo. Zacisnęła usta i drżącymi palcami spróbowała rozetrzeć napięte mięśnie karku. Krople potu spływały jej po plecach. Czy ta jazda nigdy się nie skończy?

Joni spojrzała na nią z troską.

- Dobrze się czujesz? - zapytała.

Libby tylko skinęła głową.

- Coś nie tak? - Wnętrze windy wypełnił głos Petera Caldwella.

Wszystko! - pomyślała, wpatrując się w cyferki zapalające się nad drzwiami. Zmusiła się jednak, by pokręcić przecząco głową, i przestała Joni błagalne spojrzenie. Koleżanka zrozumiała ją natychmiast.

- Wszystko w porządku - zapewniła.

Po niespełna minucie, która zdawała się trwać całą wieczność, winda w końcu stanęła na parterze. Zanim drzwi rozsunęły

się do końca, Libby wypadła na zewnątrz i pobiegła w kierunku najbliższego wyjścia. Znalazszy się na parkingu przed szpitalem, odwróciła twarz do słońca i odetchnęła ostrym, rześkim powietrzem.

Poczuła, że ktoś delikatnie kładzie jej dłoń na ramieniu.

- W porządku, Joni. Zaraz mi przejdzie - zapewniła koleżankę, nie odwracając głowy.

- Na pewno - odpowiedział znajomy męski głos. - A tymczasem proszę zrobić kilka głębokich wdechów.

Libby błyskawicznie otworzyła oczy i tuż przed sobą ujrzała twarz Petera. Teraz już spodziewała się najgorszego. Przecież w końcu musi ją poznać! A jednak... nic takiego nie nastąpiło. W jego oczach dostrzegła jedynie współczucie oraz wyraźne zainteresowanie jej osobą.

W końcu nadeszła Joni.

- Boże, Libby, gdybym wiedziała, że tak źle znosisz jazdę, nigdy bym się przy tym nie upierała.

- Proszę przynieść szklankę wody - polecił Caldwell.

- Zaczekaj! - Libby za nic w świecie nie chciała zostać z nim sam na sam, ale nie zdążyła zatrzymać przyjaciółki.

- Klaustrofobia? - zapytał.

Przytaknęła. Wprawdzie kiedy ujrzała go w windzie, natychmiast zapomniała o ciasnocie wnętrza, w żadnym wypadku jednak nie zamierzała się do tego przyznać.

Joni podała jej papierowy kubek i Libby zanurzyła usta w zimnej wodzie. Czuła, że Peter nie spuszcza z niej wzroku. Był tak samo przystojny jak w dniu, kiedy go poznała.

- Chyba nie będę już potrzebny - powiedział w końcu, kiedy policzki Libby lekko się różowiły.

Przełknęła resztkę wody, karcąc się w duchu za to, że zwróciła uwagę na jego urodę. I tak nigdy nie będzie już potrzebny. Ani jej, ani Kyle'owi.

- Dzięki, doktorze - odezwała się Joni głosem tak pełnym rozmarzenia, że Libby miała ochotę dać jej kuksańca w bok. Jak

każdy Caldwell, Peter ma niebывały dar zniewalania kobiet. Jej własna siostra uległa czarowi innego z Caldwellów i zapłaciła za to wysoką cenę.

- No to do zobaczenia. Miło mi było panie poznać - powiedział Peter i wrócił do budynku.

- Ale numer!

Zachwyty malujący się na twarzy koleżanki wywołał u Libby kolejny przypływ złości.

- Jak mogłaś kazać mu za mną wybiec?

- Nic nie mówiłam. Sam za tobą pognął. Omal nie wyrzucił mnie po drodze.

Libby jęknęła. Jest gorzej, niż przypuszczała. Nici z postanowienia, żeby nie rzucać się w oczy.

- Nie rozumiem cię, Lib. O co się tak wściekasz? Zastanów się, jakie zrobiłaś na nim wrażenie. To kawaler. Każda niezamężna baba w szpitalu będzie ci zazdrościć, jak tylko się dowie, co się stało.

Libby przymrużyła oczy.

- A skąd wiesz, że nie jest żonaty?

- Nie zauważyłaś, że nie nosi obrączki?

W odpowiedzi wzruszyła jedynie ramionami.

- Słuchaj, nikt nie może się dowiedzieć o tym, co tu zaszło. Nikt. Wyrażam się jasno?

Joni poczuła się urażona.

- No dobrze, nikomu nie pisnę słówka. Tylko uważaj, bo zaraz połamiesz słuchawki. - Libby rzeczywiście bezwiednie skręcała w węzeł swój stetoskop.

- Obiecujesz?

Joni uniosła uroczyście dłoń.

- Przysięgam! Ale zapamiętaj moje słowa. Doktor Caldwell tak łatwo o tobie nie zapomni.

ROZDZIAŁ DRUGI

- Mamo, czy Sam może nam pomóc?

Stojąc na czubku drabiny, Libby próbowała rozciągnąć sznur kolorowych lampek wzdłuż brzegu dachu pokrytego dachówką. Uważając, żeby nie stracić równowagi, mocowała przewody do stalowej rynny. W końcu nie może sobie pozwolić na to, żeby jak Ralph wylądować w szpitalu. Z drugiej jednak strony, jako członkini komitetu do spraw świątecznych dekoracji, chciała ozdobić swój własny dom, zanim zaczną pomagać innym. Poza tym pogoda była tak ładna, że nie zamierzała siedzieć w domu.

- Owszem, tylko niech zapyta...

Drzwi zamknęły się z trzaskiem, zanim zdążyła dokończyć.

Mimo że w ciągu tych lat nauczyli się tak znakomicie sobie ze wszystkim radzić, że żadna pomoc nie była im potrzebna, Libby zawsze chętnie poznawała nowych przyjaciół syna. Może inni uznaliby to za przesadę, ale dla bezpieczeństwa dziecka i własnego spokoju lubiła wiedzieć, w jakim towarzystwie Kyle się obraca. Z zadowoleniem zauważyła, że wymagania chłopca w stosunku do przyjaciół są równie wysokie jak jej własne.

Zeszła z drabiny, z przyjemnością wciągając w płuca rześkie powietrze. Mimo że w ciągu godziny, jaka minęła od jej powrotu do domu, temperatura obniżyła się o parę stopni, w grubej czerwonej koszuli z długim rękawem, pod którą włożyła czarną wełnianą kamizelkę, było jej całkiem ciepło.

Drzwi trzasnęły ponownie.

- Nikt nie odpowiada. Zadzwoń później - powiedział Kyle, utkwivszy wzrok w lampkach na dachu. - Powinny się tak świecić na okrągło - oznajmił.

- Ale wtedy mielibyśmy o połowę mniej przyjemności. - Przesunęła drabinę o metr w bok. - Poza tym chciałbyś mieć Świętego Mikołaja w ogródku w połowie lipca?

- Chyba nie.

Otoczyła synka ramieniem i przytuliła do siebie. Rośnie tak szybko, pomyślała, że jeszcze kilka lat, a dogoni mnie.

- A w ogóle to tworzymy taki zgrany zespół, że skończymy, zanim zdążysz się obejrzeć. - Potargała dłonią jego gęstą czuprynę. Starła się wierzyć, że Kyle zawdzięcza rudy odcień włosów któremuś z jej własnych odległych przodków, ale gdy dziś spojrzała na Petera Caldwella, straciła wszelkie złudzenia. Kolor włosów na pewno odziedziczył po ojcu.

- Poustawiaj wokół werandy puszki na cukierki, dobrze?

- Już się robi.

Chłopiec ruszył biegiem w kierunku garażu i po chwili popołudniową ciszę przesyłało skrzypienie nie naoliwionych osi. Kyle pojawił się znowu, ciągnąc za sobą stary ogrodowy wózek. Wchodząc na drabinę, Libby zauważyła, że jedna z opon puściła powietrze, i w pamięci zanotowała kolejną sprawę, jaką będzie musiała załatwić w najbliższym czasie. Tymczasem zajęła się upinaniem lampek, zwracając przy okazji baczną uwagę na postępy syna w pracy. Kyle precyzyjnie odmierzał przerwy pomiędzy poszczególnymi puszkami z kolorowego tworzywa, po czym dokładnie sprawdzał, czy po wetknięciu w ziemię znajdują się na tej samej wysokości.

Uśmiechnęła się do siebie z zadowoleniem. Co prawda, zdawała sobie sprawę, że nie po niej odziedziczył cnotę dokładności, lecz dopiero dzisiaj przyszło jej do głowy, że, być może, zamiłowanie do wznoszenia precyzyjnych konstrukcji też odziedziczył po ojcu. Niemożliwe, stwierdziła w końcu. Bryce Caldwell nie należy do ludzi, którzy brudzą sobie ręce pracą. Poza

tym zainteresowanie narzędziami jest charakterystyczne dla kilkuletnich chłopców.

Samo wspomnienie drugiej połowy drzewa genealogicznego synka sprawiło, że przed oczami zamajaczyła jej twarz nowego lekarza. *Ojcowie* Petera i *Bryce'a* byli bliźniakami, a i stopień podobieństwa ich synów jest uderzający.

Na szczęście Libby też miała wysokie kości policzkowe i ciemne oczy, dzięki czemu ktoś czasem dostrzegał podobieństwo Kyle'a do matki. Pozostałe cechy jego urody były mieszaniną tego, co odziedziczył zarówno po Brownach, jak i po Caldwellach, co znaczyło, że w przyszłości może okazać się równie zniewalający jak tatuś.

Jednego Libby była jednak pewna. Wychowa syna na mężczyznę, który charakterem przewyższy ojca, i jeśli popełni w życiu jakieś błędy, sam będzie ponosił za nie odpowiedzialność. Na pewno nie wyśle krewnego, żeby w jego zastępstwie naprawiał szkody.

No, starczy już tego rozczulania się nad przeszłością. Musi skończyć zawieszanie tych świateł, bo zaraz zrobi się ciemno.

Jeszcze kilka razy przestawiała drabinę i wdrapywała się na górę. Pod koniec pracy mięśnie nóg bolały ją niemiłosiernie. W końcu zeszła na ziemię i oceniła efekt swych wysiłków.

- Mamo, idę jeszcze raz zadzwonić. Może już wrócili.

- Po drodze włóż wtyczkę w gniazdko. Sprawdzimy, czy wszystko działa.

W chwilę później wesoło zamrugały światła.

- Nie widać zielonych - oznajmił za plecami Libby dziecięcy głosik.

Odwróciła się i ujrzała przed sobą siedmio- bądź ośmioletnią dziewczynkę w dżinsach utyłanych na kolanach, sportowej kurtce i bejsbolowej czapce z napisem Colorado Rockies.

- Witaj - zwróciła się do dziecka.

- Dzień dobry. Mówiłam, że zielone są popsute.

Libby uważnie spojrzała na dach.

- Masz rację. - Jęknęła w duchu. Przecież kiedy sprawdzała lampki przed założeniem, paliły się wszystkie, co do jednej. Nie bała się wysokości, ale mięśnie łydek dawały się jej mocno we znaki. A teraz musi znowu wleźć na drabinę i metodą eliminacji wykryć przepaloną żaróweczkę. Z doświadczenia wiedziała, że może to trwać w nieskończoność.

Trzasnęły drzwi do domu.

- Sam dalej nie odpowiada! - zawołał Kyle, wpadając jak burza do ogrodu, po czym jego twarz rozjaśnił szeroki uśmiech.

- Więc tu jesteś! Nic dziwnego, że nie mogę się dodzwonić.

Libby odwróciła się zdziwiona. Poza dziewczynką nie dostrzegła żadnego innego dziecka.

- To ty jesteś Sam? - zapytała w końcu.

Dziewczynka wcisnęła ręce do kieszeni, zatopiła czubek brudnego adidasa w zwiędłej trawie i kiwnęła głową.

- Naprawdę nazywam się Samantha, ale nikomu nie pozwalam tak do siebie mówić, bo to głupie imię.

Przyjrawszy się jej bliżej, Libby przestała się dziwić, że Kyle zaprzyjaźnił się z dziewczynką. Jej wygląd świadczył o tym, że podziela zamiłowanie synka do sportu, wędkowania, zbierania chrabąszczy i wszelkich innych czynności, przy których można umazać się od stóp do głów.

Spróbowała zdobyć się na dyplomację.

- Samantha to bardzo ładne imię. Bardzo eleganckie. - Dziewczynka posłała jej niechętne spojrzenie i zacisnęła usta.

- Ale obiecuję - ciągnęła Libby - że będę mówić do ciebie Sam.

- Pomożesz mi z lampkami przy puszkach na cukierki? - poprosił Kyle przyjaciółkę.

- Pewnie.

Sam odzyskała dobry nastrój. Dzieciaki odeszły i Libby wróciła do swego żmudnego zajęcia. Przyglądając się małym pomocnikom, z rozbawieniem słuchała wskazówek płynących z ust syna.

- Najpierw musimy je włączyć i sprawdzić, czy nie są zepsute, a potem będziemy je przekładać przez te otwory, o tak.

Na ulicy zapaliły się latarnie.

- Dzieciaki, zaczyna się ściemniać, więc już kończcie. Jutro znowu weźmiemy się do pracy.

- Dobrze - odpowiedzieli zgodnie.

Kiedy Libby wreszcie wymieniła zepsutą lampkę, Kyle i Sam skończyli oplatać kolejny sznur świateł wzdłuż balustrady werandy. Cała trójka odsunęła się do tyłu, by ocenić efekt.

- Jak ślicznie! - westchnęła Sam z zachwytem. - To najpiękniejsza rzecz, jaką w życiu widziałam.

- To wy nie dekorujecie domu na święta? - Kyle nie potrafił ukryć zdziwienia.

Sam potrząsnęła przecząco głową.

- Tata jest zbyt zajęty. Ale mamy choinkę.

- Poczekaj, aż zobaczysz naszą. Zawsze jedziemy na plantację i wybieramy najpiękniejszą, taką do samego sufitu.

- Naprawdę? - Oczy Sam stały się okrągłe. - Nasza choinka leży w pudełku w piwnicy.

- Macie sztuczną? - Kyle zmarszczył nos.

Sztuczne choinki są bardzo ładne - wtrąciła Libby dyplomatycznie.

- Tak. I w dodatku jest tylko mojego wzrostu.

- Taka mała? - Na twarzy chłopca zagościł wyraz rozczarowania. - Może wy jesteście biedni?

- Nie. Tata ma całą furę pieniędzy, tylko mówi, że od prawdziwych drzewek może wybuchnąć pożar. A poza tym babcia Bridges miałaby dużo sprzątanania.

- Mamo, to prawda?

- Fakt, choinki bywają kłopotliwe - przyznała Libby, która co roku prowadziła wojnę z opadającymi igłami. - Dlatego należy pamiętać, żeby je podlewać.

Sam spojrzała na Kyle'a.

- A pieczecie ciasteczka, chodzicie z kolędą i czekacie na Świętego Mikołaja?

- No pewnie! A wy nie?

Sam pokręciła głową.

- I nie zawieszamy żadnych lampek na domu.

Libby pomyślała, że w porównaniu z ojcem dziewczynki nawet taki skąpiec jak Ebenezer Scrooge okazałby się całkiem miłym człowiekiem.

- Ale chyba przygotowujecie coś szczególnego na święta?

- wykrztusiła w końcu.

Sam zastanowiła się.

- Zwykle spędzam święta u babci i dziadka. Święty Mikołaj przynosi mi prezenty.

- A twoja mama nic nie robi? - Kyle'owi taki sposób spędzania świąt po prostu nie mieścił się w głowie.

- Mama poszła do nieba, jak byłam bardzo mała. Tatusi mówi, że to się stało właśnie w czasie Bożego Narodzenia.

Nic dziwnego, że stara się zapamiętać o świętach, pomyślała Libby i od razu zmieniła zdanie o ojcu Sam. Jednocześnie podjęła decyzję. W końcu święta są dla dzieci, więc nie dopuści do tego, żeby ta dziewczynka znowu została ich pozbawiona.

- Jeśli tylko będziesz miała ochotę, możesz przyjść pomóc nam przy świątecznych wypiekach.

Oczy Sam rozbłysły radośnie. Podskoczyła do góry tak, że czapka spadła jej z głowy, odsłaniając krótko przystryżone, rude włosy.

- Oczywiście pod warunkiem, że tata się zgodzi - dodała Libby.

- Na pewno się zgodzi - odrzekła Sam z przekonaniem, wkładając czapkę.

- No to jesteśmy umówieni. - Zabłysła kolejna latarnia i Libby zerknęła na zegarek, kupiony jakiś czas wcześniej na wyprzedaży w miejscowym supermarkecie. - Jest już prawie ciemno. Chodź, to cię odwiozę, tylko podaj mi adres.

Sam wskazała na zachód.

- To ten dom kawałek dalej. Ten duży, na samym rogu.

- Więc to wy jesteście tą rodziną, która właśnie się tu wprowadziła? Miałam zamiar wpaść do was, żeby porozmawiać z twoimi rodzi... z twoim tatą o konkursie świątecznym. Oczywiście, jeśli nigdzie nie wychodzicie.

Sam nie mogła ustać w miejscu z przejęcia.

- Nie, będziemy w domu. Tata pewnie nie będzie chciał się zgodzić na żadne dekoracje, ale może uda się go pani przekonać. Tak bym chciała, żeby nasz dom wyglądał tak ładnie jak wasz.

Libby uśmiechnęła się w duchu na widok niezwyklej powagi malującej się na twarzy dziecka.

- Zrobię co się da - obiecała. Co prawda pamiętała, że nowy sąsiad nie wywarł na Ralphie najlepszego wrażenia, lecz miała nadzieję, że ojciec Sam ugnie się pod presją jej argumentów.

Kilka minut później, odprowadziwszy dziewczynkę pod samą furtkę, Libby i Kyle zawrócili do domu. Pozbierali resztę ozdób i ustawili pudła w garażu.

- Teraz kolacja, a potem poćwiczymy ortografię i spać!

- Mamo, przecież nie robię już błędów.

- Więc szybko nam pójdzie, prawda?

- Chyba tak. - Kyle był wyraźnie przybity.

Po posiłku, składającym się z duszonego mięsa w sosie chili i cynamonowych bułeczek domowego wypieku, Libby zajęła się zmywaniem, a Kyle mozolnie ćwiczył pisownię. W końcu podał matce ćwiczenie do sprawdzenia.

- Mogę iść z tobą? - zapytał błagalnie.

Libby uśmiechnęła się. Musiała przyznać, że nie popełnił żadnego błędu. Zapakowała placek wiśniowy, który sama upiekła jako powitalny prezent dla nowych sąsiadów.

- Włóż kurtkę, bo jest zimno - poleciła ku radości syna.

- Powinnam była spytać Sam, jak nazywa się jej tata. Nie powiedziała ci przypadkiem?

- Mówiła, ale zapomniałem.

- A czym się zajmuje?
- Nie pytałem.

Trudno, sama będzie musiała się dowiedzieć. Wyszli na dwór szybkim krokiem, Kyle wsunął dłoń w jej rękę. Cokolwiek złego myślała o rodzinie Caldwellów, tego jednego u jej boku pokochała całym sercem od chwili, kiedy go ujrzała. Nigdy nie żałowała, że zdecydowała się pomóc siostrze w wychowaniu syna, a później sama podjęła się tego zadania.

Z kilku okien dużego, wiktoriańskiego domu sączyło się światło. Libby zatrzymała się przy ogrodzeniu i oczami wyobraźni zobaczyła budynek tonący w blaskach świątecznych dekoracji.

Ozdabianie takiego domu to dopiero byłaby radość, pomyślała z zazdrością. Miała nadzieję, że kiedyś sama będzie mogła sobie pozwolić na podobny stary dom pełen wspomnień, taki dom z charakterem. Miejsca tego rodzaju potrzebują ludzi, którzy potrafią tchnąć w nie życie. Choć rozumiała ból nowego sąsiada, żałowała, że jego niechęć do świąt spowoduje, iż kryjące się w tej willi możliwości pozostaną nie wykorzystane.

- Niezłe miejsce, prawda? - zauważył Kyle.

Libby pieszczotliwie pociągnęła go za ucho.

- Owszem, ale nie jest tak przytulny jak nasz.

Weszli na drewnianą werandę i Kyle nacisnął dzwonek przy drzwiach. Wewnątrz natychmiast rozległ się tupot dziecięcych stóp, a dziewczęcy głos obwieścił:

- Ja otworzę!

Tym razem Sam była bosa, lecz nadal miała na sobie swe wybrudzone dżinsy. Twarz została umyta, a włosy gładko przyczesane.

- Dobry wieczór, pani Brown - powiedziała, zapraszając gości do środka. - Mówiłam ojcu, że się do nas wybieracie. Zaraz zjedźcie na dół. - Spojrzała na owinięty papierem talerz.
- To dla nas?

Libby uśmiechnęła się i podała jej ciasto.

- Uwielbiamy placek z wiśniami - oznajmiła Sam, dzierżąc talerz przed sobą tak ostrożnie, jakby zawierał drogocenne klejnoty.

Matka z synem rozejrzeli się po holu, który wielkością dorównywał największemu pokojowi w ich domu. Schody, zbudowane w kształcie litery L, prowadziły stąd bezpośrednio na piętro. Świeżo wypolerowana dębowa balustrada lśniła czystością. W rogu, tuż obok drewnianej ławy, stał wieszak na ubrania, a ze schowka wystawał koniec przytrzaśniętego różowego szalika.

Po przeciwnej stronie pyszniła się wielka, bogato zdobiona, szkocka, sosnowa szafa ze zwieńczeniem w kształcie anioła.

Na piętrze rozległ się odgłos mocnych, męskich kroków, które powoli stawały się coraz bliższe. Libby wyprostowała się i rozchyliła usta w powitalnym uśmiechu. Z powodu Sam chciała zrobić jak najlepsze wrażenie na jej ojcu.

Nie minęło kilka sekund, kiedy poczuła znajomy zapach drzewa sandałowego. Zaczął ogarniać ją lęk, który przerodził się w panikę w momencie, gdy rozpoznała mężczyznę.

Nie był to żaden obcy pan Bridges, którego spodziewała się ujrzeć. Był to Peter Caldwell.

- Tatusiu, to jest pani Brown. Kyle'a już znasz.
- Jak się masz? - zwrócił się Peter do chłopca.
- Dziękuję, dobrze.

W oczach mężczyzny pojawiły się wesołe ogniki, gdy skierował wzrok na Libby.

- Miło mi panią poznać, pani Brown. Tym razem oficjalnie.

Głos uwiązał jej w gardle. Za nic nie powie mu, że nigdy nie wyszła za męża.

- Ma na imię Libby. - Kyle przyszedł jej z pomocą. - To takie zdrobnienie, bo naprawdę ...

Przerwała mu, zanim zdążył powiedzieć za dużo:

- Tak mnie wszyscy nazywają. Nie wiedziałam, że to pan

jest ojcem Samantha, to znaczy Sam. Wspomniała, że babcia nosi nazwisko Bridges, więc przypuszczałam...

- Pani Bridges pracuje u nas jako gospodyni, a nazywamy ją babcią w uznaniu jej wielkich zasług - wyjaśnił Peter, wyraźnie rozbawiony sytuacją.

- Rozumiem. Kyle nic mi nie powiedział, że już pana poznał.

- Bo mnie nie pytałaś - bronił się chłopiec.

Widok Kyle'a stojącego obok Petera pozbawił ją resztek złudzeń. Odcień jego włosów w stopniu zdecydowanie większym przypominał kolor włosów ojca i córki niż jej.

Nie może niczego dać po sobie poznać.

- Od chwili, kiedy córka wróciła do domu, nie mówi o nikim innym, tylko o pani.

Libby nie mogła zebrać myśli. Marzyła o tym, żeby stąd uciec.

- Tak, to naprawdę słodkie dziecko - odrzekła trochę bez związku. - W każdym razie miło mi było poznać nowych sąsiadów. Kyle, wracamy do domu - obwieściła.

Tym razem syn nie był skłonny jej posłuchać.

- Ale mamo, przecież miałaś namówić ich do udziału w konkursie! - W oczach chłopca malowało się bezgraniczne zdumienie. Z przykrością zauważyła, że oczy też miał podobne do Caldwell'a i jego córki.

- Przyszliśmy nie w porę. Porozmawiam z doktorem Caldwellem przy innej okazji - odrzekła, kierując się ku drzwiom.

- W niczym nam pani nie przeszkadza. Talerze po kolacji są już pozmywane, tylko czekają, żeby je schować.

Libby nie zamierzała się poddać, ale widok przygarbionej sylwetki Sam i zawód malujący się na jej twarzy spowodowały, że zmieniła zdanie. Miała tylko nadzieję, że nie pożałuje tej decyzji.

- Skoro pan nalega... - Po raz kolejny zeszytniała z oba-

wy, że zostanie rozpoznana. Jednak w oczach gospodarza dostrzegła jedynie błysk przyjaznych uczuć.

- Zapraszam do pokoju.

Chyba postradałam zmysły, pomyślała Libby, pozwalając Sam pociągnąć się za rękę do środka.

Salonik, w którym się znaleźli, sprawiał wrażenie ciepłego i przytulnego. Kanapa i fotele w kolorze myśliwskiej zieleni znakomicie harmonizowały z tapetą na ścianach. Spod kilku stron maszynopisu, rozrzuconych na lśniącym stoliku do kawy, wystawał róg gazety. Obok walizkowej torby należącej do Petera zauważyła pilota odbiornika telewizyjnego. Telewizor najpewniej ukryty był za drzwiczkami kredensu zdobiącego północną ścianę.

Mosiężna przesłona w kształcie wachlarza stanowiła zabezpieczenie wylotu kominka. Rozszerzone źrenice syna mówiły jej, że Kyle jest pod ogromnym wrażeniem tego wnętrza. Jak cudownie wyglądałyby tu tradycyjne skarpety czekające na włożenie prezentów, ozdobione zielenią ostrokrzewu... Czym jest wobec tych wspaniałości jej kartonowy kominek z cegłami i ogniem wymalowanymi farbą, który co roku przynosi na górę z piwnicy w poszanowaniu starego obyczaju?

Spróbowała się skupić na sprawie, którą miała do omówienia.

- Czy słyszał pan już o naszym konkursie na Boże Narodzenie?

- Coś słyszałem. - Peter zajął miejsce na wyściełanym krześle naprzeciwko kanapy, na której zasiadła Libby.

- Mieszkańcy ulic biorących udział w tym konkursie ozdabiają na święta swoje domy. Każdy kwartał oceniany jest za wygląd i pomysłowość dekoracji. Dodatkowo specjalne medale przyznawane są poszczególnym mieszkańcom za zdobycie pierwszego, drugiego i trzeciego miejsca. Pewnie zdążył pan zauważyć, że Boże Narodzenie obchodzone jest w Belleville szczególnie uroczystie. Już następnego dnia po Święcie Dziękczynienia otwiera się na południu miasta specjalny kiermasz

z ozdobami i innymi atrakcjami. Przyciąga on mnóstwo turystów.

- Rozumiem.

- Tato, czy moglibyśmy powiesić na domu lampki tak jak inni?

Peter spojrzął na córkę z przepraszającym uśmiechem.

- Sam nie wiem, kochanie. Byłoby to całkiem ładne, ale przecież wiesz, że brakuje mi czasu.

Libby miała ochotę wstać, przeprosić go za stracony czas i ulotnić się jak najszybciej, ale przecież nie mogła zawieść dziewczynki.

- Mamy grupę ochotników, którzy chętnie pomagają w zrobieniu dekoracji tym, którzy chcą wziąć udział w konkursie, ale z różnych przyczyn nie mogą się tym zająć. Jeśli nie ma pan nic przeciwko temu, chętnie dopiszemy was do listy.

Peter nie wyglądał na zachwyconego.

- Oczywiście, nie zrobimy niczego bez pana zgody - pospieszyła z wyjaśnieniami. - Zwykle wszyscy sami kupują dekoracje, ale chętnie pożyczę panu wycięte z deski postacie Świętego Mikołaja i pani Mikołajowej, które ustawia się przed wejściem na werandę. Inni sąsiedzi z pewnością też mają coś na zbyciu.

- Zgódź się, tatusiu, proszę - błagała Sam.

Uśmiech powoli rozjaśnił twarz Petera, czyniąc go przy tym zdecydowanie sympatyczniejszym od nieprzyjemnego, zarzucał go człowiekiem, jakim go znała przed laty.

- Niech będzie.

Sam zarzuciła mu ręce na szyję, wskoczyła na kolana i pocałowała gorąco.

- Jesteś super, dziękuję.

- Cała przyjemność po mojej stronie, Sammie - zapewnił, wyzwalając się z uścisku.

Bezmiar uczucia, jakim obdarzał córkę, był tak wyraźny, że Libby poczuła dławienie w gardle i spojrzała na Kyle'a. Na

widok zazdrości malującej się na jego twarzy ścisnęło się jej serce i z trudem przełknęła ślinę.

- Zazwyczaj wszystkie dekoracje są gotowe przed ceremonią zapalania świec, która corocznie odbywa się na rynku w dzień po Święcie Dziękczynienia. Gdyby potrzebna była panu pomoc, proszę zwrócić się do Leroya Weisera. Jest przewodniczącym naszego komitetu, a mieszka po drugiej stronie ulicy.

Peter nadał tulił Samanthę.

- Dobrze.

Libby podniosła się z miejsca.

- Robi się późno. Chodź, Kyle, będziemy się zbierać. Czas spać.

- Zdaje się, że mamy podobne przyzwyczajenia. Wcześniej się kłaść do łóżka i wcześniej wstawać.

Samo wspomnienie łóżka spowodowało, że Libby się zarumieniła. Gdyby facet nie nosił tego znienawidzonego nazwiska!

Peter odprowadził ich do drzwi.

- Dzięki za wizytę i za ciasto, Libby.

Błysk, który dostrzegła w jego oczach, w połączeniu z głosem wymawiającym jej imię spowodował, że poczuła zawrót głowy. Z jednej strony bardzo jej pochlebiało zainteresowanie, jakie jej okazywał, z drugiej jednak obawiała się, że bliższa znajomość z tym człowiekiem może sprowadzić na nich nieszczęście.

- To drobiazg - powiedziała uprzejmym, lecz chłodnym tonem.

Kyle pociągnął ją za ramię.

- Mamo, chodźmy już - szepnął.

Nutka trwogi w jego głosie kazała jej przyjrzeć się chłopcu uważniej. Palcami umazanymi krwią mocno zaciskał dziurki od nosa. Libby sięgnęła do kieszeni po chusteczkę. Niestety, zostawiła ją w domu.

Na szczęście Peter przyszedł chłopcu z pomocą.

- Weź moją. - Wcisnął mu w dłoi białą chustkę. - Oddychaj przez usta - poleciał i posadził dziecko na ławie w holu.

Kyle kiwnął głową i spojrzał na matkę w oczekiwaniu pocieszającego gestu. Libby natychmiast otoczyła go ramieniem.

- Często mu się to zdarza? - zapytał Peter, przyglądając się chłopcu z uwagą.

- Właściwie nie. Raz na jakiś czas. - Libby usiadła obok synka. - Doktor Downey mówi, żeby się nie martwić. Według niego to kwestia zbyt niskiej wilgotności powietrza i przesuszonej śluzówki.

- Ma skłonność do infekcji zatok?

- Nie większą niż inne dzieci. Przeszedł całą serię badań i lekarz nie stwierdził niczego niepokojącego. - Libby spojrzała na zegarek. - Minęło pięć minut. Zobaczmy, czy już przeszło.

Kyle powoli opuścił rękę. Pod nosem niebyło widać nowych śladów krwi.

- Widzisz, już jest sucho - powiedziała z uśmiechem.

Chłopiec wyciągnął rękę, żeby zwrócić chustkę, lecz Peter go powstrzymał.

- Zatrzymaj ją. Może ci się przydać w drodze do domu.

- Dzięki.

Libby ujęła synka za rękę i skierowała się ku drzwiom.

- Lepiej już chodźmy. Dobranoc, Sam. Dobranoc, doktorze.

W drodze do domu pomyślała z radością, że, po pierwsze, dzięki niej uczestnictwo w konkursie będzie stuprocentowe, a po drugie, Peter nie żywi żadnych podejrzeń co do pochodzenia Kyle'a. Libby nie miała najmniejszego zamiaru go oświecać.

Po szybkiej kąpieli chłopiec powędrował do łóżka. Libby opowiedziała mu bajkę na dobranoc, wysłuchała wieczornej modlitwy i w końcu wróciła do sprawy, która ją intrygowała.

- Kiedy poznałeś tatę Sam?

- Kilka dni temu, w szkole. Zaproponował, że mnie podwiezie do domu, ale wyjaśniłem, że nie wolno mi jeździć z nieznanymi.

- Cieszę się, że pamiętałeś o naszej zasadzie.

- A doktor Caldwell powiedział, że rozumie i że ma nadzieję, że już niedługo przestanie być obcym. Fajny z niego facet, prawda?

- Owszem.

Gdyby dziś po raz pierwszy w życiu ujrzała Petera Caldwell, z pewnością zgodziłaby się z synem bez zastrzeżeń. Troska, z jaką potraktował ją w szpitalu, i miłość, którą otaczał córkę, wystarczyłyby, żeby zawrócić w głowie każdej kobiecie. Niestety, opinia, którą wyrobiła sobie przed laty na jego temat, nigdy się nie zmieni.

- Sam to ma dobrze, że ma tatę.

Libby okryła synka kołdrą i przysiadła na łóżku.

- A Sam pewnie zazdrości ci tego, że masz mamę. - Przytaknął, lecz wyraz powagi nie znikł z jego twarzy. - Też bym chciała, żebyś miał tatę, ale na razie nic się nie udaje.

- W przyszłym roku kończę dziesięć lat. Myślisz, że znajdziesz mi tatę, zanim dorosnę?

- Niczego nie można przyspieszać na siłę - powiedziała, zdając sobie sprawę z nieuchronnego upływu czasu. - Kto wie, kiedy pojawi się ktoś odpowiedni. Na razie dobrze nam razem, prawda?

- Tak, tylko że Sam ma babcię i dziadka, a ja nie.

- Za to ty masz Ralpha i Sylvie. Może Ralph nie zabiera cię na ryby, a Sylvia nie piecze pysznych ciasteczek specjalnie dla ciebie?

Kyle pogrążył się w zadumie.

- Chyba masz rację; dziadek i babcia robiliby to samo - zgodził się w końcu, przekręcając na bok. - Dobranoc.

Libby pocałowała go w czoło.

- Śpij dobrze - powiedziała, gasząc światło. Drzwi do pokoju synka zostawiła lekko uchylone.

Uprała chustkę Petera i przysiadła na starej kanapie w ciemnym pokoju. Po położeniu syna miała kilka godzin tylko dla

siebie Często spędzała ten czas, snując plany na następny dzień W przeciwieństwie do niektórych koleżanek uwielbiała samotność Cieszył ją każdy trzask, przerywający ciszę panującą w domu, bo był to jej własny dom, owoc wielu lat pracy i poświęceń

Spotkanie Petera Caldwell'a odświeżyło wspomnienie wydarzeń, o których od lat starała się nie myśleć

- Musisz mi pomoc, Lib - zatkała Elaine i zalała się łzami
- Jestem w ciąży

- Co Powtórz to jeszcze raz - Libby nie mogła oderwać wzroku od starszej siostry

- Jestem w

- Wiem Usłyszałam za pierwszym razem - Libby usiadła na krześle Kilka dni wcześniej koleżanka, z którą dzieliła pokój, wróciła do domu z taką samą wiadomością i Libby poczuła się tak, jakby nagle wtargnęła w centrum epidemii - Jak to się stało?

Elaine zaczęła opowiadać, lecz siostra powstrzymała ją gestem dłoni

- Dany sobie szczegóły W końcu już zaliczyłam biologię Ale kto jest ojcem⁷

- Bryce Caldwell

Nazwisko to me było jej obce

- Caldwell? Ten od koncernu Caldwellów?

Elaine przytaknęła, wyskubując nerwowo nitki z białej narzuty na łóżku

- Powiedziałaś mu?

- Tak - Elaine otarła łzy z oczu

- I co on na to?

- Mówił bardzo dużo, a przede wszystkim, że nie da się złapać na dziecko i wrobić w małżeństwo I że jeśli podam go jako ojca albo założę sprawę o alimenty, to jego rodzina będzie walczyć o prawo do wychowywania potomka

Libby pokręciła głową z niedowierzaniem.

- W jaki sposób w ogóle go poznałaś?

- W centrum handlowym. Wpadł na mnie niechcący, tak że się przewróciłam. Więc pomógł mi wstać z podłogi, a potem postawił mi coś do picia. Boże, jaki był wtedy czarujący.

- Nie wątpię - skomentowała Libby z nie ukrywanym sarkazmem.

- Naprawdę. A kiedy się przedstawił, od razu wiedziałam, że sama nie zdołam go utrzymać, więc - głos Elaine zdrżał - udawałam ciebie.

- Słucham?

- Powiedziałam mu, że zaczęłam studiować medycynę na uniwersytecie i że zdobyłam stypendium. To zrobiło na nim o wiele większe wrażenie, niż gdybym przyznała się, że jestem kasjerką w Wal-Marcie. W każdym razie sprawy zaszły dość daleko i teraz jestem w ciąży. Myślałam, że kocha mnie tak jak ja jego, ale widocznie się myliłam. - Uśmiechnęła się przez łyzy.

- Przynajmniej naucz mnie to rozumu, nie?

Libby usiadła przy siostrze i otoczyła ją ramieniem.

- Po prostu za bardzo ufasz ludziom, ale nie martw się, wszystko się ułoży.

Zadzwoił telefon i Libby podniosła słuchawkę.

- Ma pani gościa, panno Brown - odezwała się recepcjonistka, po czym dodała ściszym głosem: - Na twoim miejscu nie pozwoliłabym mu zbyt długo czekać, bo jeszcze któraś sprzątnie ci go sprzed nosa.

- A kto to taki?

- Nie mam pojęcia, ale lepiej zejdź szybko, zanim wszystkie dziewczyny się tu zbiegną.

- Już idę. - Libby odwiesiła słuchawkę. - Ktoś na mnie czeka na dole. Zejdę zobaczyć, kto to i czego chce, i zaraz wracam.

Zbiegła po schodach, zwalniając dopiero na parterze. Recepcjonistka wskazała dłonią na mężczyznę chodzącego w tę i

z powrotem po holu. Nie był to nikt znajomy. Mimo to Libby poczuła się mile zdziwiona tym, że ktoś tak niezwykle przystojny chce się właśnie z nią widzieć.

- Dzień dobry. Jestem...

Odwrócił się w jej kierunku.

- Panna Brown?

Przytaknęła. Z bliska wyglądał jeszcze atrakcyjniej.

- Nazywam się Peter Caldwell.

Libby zrozumiała od razu, dlaczego Elaine tak łatwo dała się oczarować Bryce'owi. Patrzyła na nieznajomego z ustami zastygłymi w uśmiechu.

- Wzięłaś mnie za Bryce'a?

- Właściwie to...

- Trochę to dziwne, szczególnie że poznałaś go dość dokładnie - zauważył z ironią.

- Po co pan tu przyszedł? - Odzyskawszy panowanie nad sobą, Libby przestała zwracać uwagę na dobre maniere.

- Bryce mnie o to prosił.

Nie mogła darować sobie odrobiny sarkazmu.

- Może po to, żeby wynegocjować pojednanie?

- Nie.

- To co pan tu robi?

- Chcę się dowiedzieć, co zamierzasz zrobić.

- Jeszcze nie wiem ... - Była ciekawa, jak on zareaguje.

Peter wyjął z kieszeni długą białą kopertę.

- Tu masz nazwisko lekarza, który ci pomoże. Nie zapłacisz ani grosza, jeśli oddasz mu ten list.

- Cóż za troska! - rzuciła ze złością. - Domyślam się, że ten pan specjalizuje się w skrobankach?

Nie wiedziała, czy udaje, czy naprawdę poczuł się niezręcznie.

- Jeśli wolisz, on może załatwić adopcję,

-A jeśli nie skorzystam z pana, to znaczy z Bryce'a, szczerzej oferty?

Peter wpatrywał się w nią ze zniewalającym uśmiechem.

- Z tego, co słyszałem, jesteś inteligentną kobietą z obiecującą przyszłością. Doprawdy, odrzucenie naszej propozycji nie leży w twoim interesie. Brat chyba wyjaśnił, że ani małżeństwo, ani alimenty nie wchodzi w grę.

- Owszem. I że było miło, ale teraz nie chce mnie znać.

- Ma inne plany.

- Ja także.

Przymrużył powieki.

- Więc dobrze ci radzę, żebyś go posłuchała.

Libby pomyślała o zapłakanej siostrze czekającej na nią na górze i postanowiła użyć innej metody.

- Może spróbuje pan namówić Bryce'a, żeby się jeszcze zastanowił.

- Już podjął decyzję. To koniec.

- I pan uważa, że brat ma rację?

- Nie jesteś pierwszą kobietą, która próbuje wrobić bogatego mężczyznę w małżeństwo.

- Prawdziwi mężczyźni nie zwodzą kobiet - syknęła.

Peter zacisnął zęby, krew wyraźnie pulsowała mu w skroniach. Widziała, jak wiele kosztuje go powstrzymanie się od komentarza. Zamiast tego ścisnął jej nadgarstek i wcisnął do ręki kopertę.

- Nie będziemy się więcej kontaktować, ale mam nadzieję, że podejmiesz decyzję, której nie będziesz potem żałować.

Odgłos włączającego się pieca wyrwał Libby z zadumy. Nigdy nie lubiła, kiedy stawiano jej ultimatum, choć musiała przyznać, że posłuchała rady, której Peter udzielił jej na odchodnym. Rzeczywiście, razem z Elaine podjęły jedyną możliwą decyzję, dzięki której mogły żyć bez wyrzutów sumienia i której nigdy nie żałowały.

Mimo protestów rodziców Elaine postanowiła urodzić dziecko. Obawiając się kłopotów ze strony Caldwellów, gdyby Elaine

nie pokazała się u lekarza, oddały list koleżance, która wręcz nie posiadała się z radości

W międzyczasie Libby ukończyła pierwszy rok studiów, po czym obie z siostrą przeniosły się do wuja w Qumcy, w stanie Illinois Tam właśnie urodził się Kyle

Jeszcze długo Libby odczuwała satysfakcję, ilekroć tylko pomyślała, że udało im się wywieść Bryce'a w pole Jednak w głębi duszy obawiała się, że niezbyt dokładnie zatarły za sobą ślady Minęło wiele nocy, zanim przestał ją prześladować kosztowny sen, w którym Peter przyjeżdżał odebrać im dziecko

Sama Elaine dołożyła wszelkich starań, by prawda nigdy nie wyszła na jaw Libby dowiedziała się o tym dopiero po jej śmierci Imię matki na metryce chłopca brzmiało Elizabeth, nie Elaine Siostra nawet podrobiła jej podpis

Mimo kłopotów z prawem, które mogły z tego wyniknąć, Libby była nawet zadowolona, że Elaine powzięła dodatkowe kroki, by osłonić syna przed niebezpieczeństwem Sama też poruszyłaby niebo i ziemię, byle uchronić chłopca przed wpływami Caldwellów

Westchnęła Jej plan, by unikać Petera, znacznie się skomplikował Samo niewchodzenie mu w drogę na terenie szpitala było dostatecznie trudne Teraz, skoro obiecała Sam wspólne przygotowania do świąt, rozumiała, że będzie musiała spotykać go częściej Ale postara się utrzymać jak największy dystans

Peter zebrał luźne kartki opracowania, które właśnie przeczytał, i wetknął je do teczki Rozparty wygodnie na kanapie, z nogami na blacie stolika, wpatrywał się w okruszki ciasta na talerzyku

W szpitalu mu udało się ustalić tożsamości pięknej nieznamomej Jak to dobrze, że teraz niespodziewanie pojawiła się w jego domu I w dodatku okazuje się, że mieszka w bliskim sąsiedztwie

Uśmiechnął się do siebie Chyba decyzja przyjazdu do Belleville jest jedną z najmądrzejszych, jakie podjął od lat

ROZDZIAŁ TRZECI

- Nie zapomnij zgłosić się za dziesięć dni do lekarza. Zdejmie ci gips, usunie szwy i założy nowy opatrunek na dalsze pięć tygodni - przypomniała Ralphowi.

- Nie martw się, zapamiętam - odparł z kwaśną miną.

Jeszcze raz przejrzała kartę wypisu i podała ją pacjentowi.

- Będzie cię odwiedzać siostra środowiskowa, żeby sprawdzić, czy wszystko w porządku, pomóc ci się wykąpać i tak dalej. Powinna być codziennie około dziesiątej, ale nie zdziw się, jeśli się spóźni.

- A już bym myślał, że akurat pielęgniarki powinny być punktualne.

- Jeśli wolisz, mogę skontaktować się z twoim synem, żeby się tobą zajął.

- Co to, to nie. Oboje z żoną od razu oddaliby mnie do domu opieki, a na to nigdy się nie zgodzę.

- Jednak jeśli nie będziesz współpracował i okażesz się nieuprzejmy dla siostry, możesz nie mieć wyjścia, bo przy nawale pracy pielęgniarki nie mają czasu na użeranie się z nieznośnymi pacjentami.

- Już dobrze - westchnął Ralph.

- Poza tym Sylvia obiecała dotrzymywać ci towarzystwa każdego popołudnia.

- Jeszcze lepiej!

Libby rozśmieszył widok marsowej miny pacjenta.

- Przyznaj się, że nie możesz się doczekać waszych codziennych sprzeczek.

W kącikach ust Ralpha zagościł prawie niewidoczny uśmiech.

- Być może.
- Dlaczego wy musicie się ciągle kłócić?
- Ponieważ ona...

W tej właśnie chwili Sylvia wparowała do gabinetu.

- Witajcie! No, Ralph, jesteś gotów jechać do domu?

- Owszem, tylko zupełnie nie rozumiem, dlaczego ty masz mi towarzyszyć?

- Bo nikt inny tego nie robi, stary zgredzie. A skoro już wiesz, to lepiej się zbierajmy.

Ralph spojrział na nią spod przymrużonych powiek.

- A jakim to sposobem zamierzasz wydostać mnie z samochodu i wprowadzić do domu? Sama nie jesteś w stanie udźwignąć więcej, niż waży twoja książeczka czekowa.

- Od dawna wiedziałam, że zazdrościsz mi tej sumki, która mi została po mężu. Wyszło szydło z worka! - zawołała triumfującym tonem.

- Nieprawda!

Libby przerwała dalszą wymianę zdań:

- Wracając do rzeczy: rzeczywiście, jak zamierzasz przeprowadzić Ralpha do mieszkania?

Sylvia wyprostowała się z dumą.

- Poprosiłam kilku znajomych z klubu emeryta, żeby nam pomogli. Czekają na nas w domu.

Libby przestraszyła się nie na żarty, gdy wyobraziła sobie, jak grupka starszych panów pomaga unieruchomionemu rówieśnikowi przesiąść się z samochodu na wózek.

- Może poczekacie, aż skończę dyżur, to z wami pojadę.

- Nonsens. Wszystko będzie dobrze. Nikt go nie upuści, pod warunkiem, że przestanie się zachowywać jak, nie przymierzając, koński zadek.

Ralph rzucił jej wściekłe spojrzenie, lecz tym razem darował sobie ripostę.

Libby pchnęła wózek w kierunku windy. Sylvia dreptała obok, dzierząc jego torbę i choineczkę udekorowaną dzień wcześniej. Na szczęście zjazd windą odbył się bez przygód. Chwilę później Ralph siedział już w samochodzie.

- Zjrzę do ciebie w drodze do domu - obiecała Libby i zartasnęła drzwiczki.

- Będę czekał, bo aż się boję, gdy pomyślę, co ta zółza może mi zrobić, jak zostaniemy sami.

Sylvia przyjęła dumną pozę i poprawiła platynowe włosy.

- Cokolwiek zechcesz, Ralphie.

- No to do zobaczenia. - Libby wiedziała, że na nic się zdadzą jej mediacje.

Wróciła do budynku i poszła pożegnać się z Irawą Kendrickiem, który również miał opuścić szpital. Akurat krzątały się koło niego pielęgniarki i kilka osób z domu opieki, które pomagały mu się spakować.

- Niech pan nie zapomina dbać o siebie i przynajmniej na razie unika wyścigów na wózkach - powiedziała.

- Spróbuję odczekać przynajmniej kilka tygodni.

- Będzie mi pana brakowało.

- Proszę wziąć syna i mnie odwiedzić. Przedstawię pani Ellę.

- Wobec tego jesteśmy umówieni.

- Panie Kendrick, powinniśmy już jechać - odezwał się jeden z opiekunów.

- Niech pani o mnie nie zapomni! - krzyknął Ira w kierunku Libby i w licznej asyście zniknął w głębi korytarza.

Zanim zdążyła odejść, Ann przywołała ją do siebie kiwnięciem ręki.

- Słuchaj, mamy nowy przypadek do odebrania z izby przyjęć. Masz chwilę czasu, żeby się tym zająć?

- Już idę. Kto to jest?

- Dwudziestosześcioletnia kobieta z gorączką i bólem w okolicy lędźwiowej. Zadzwonię i powiem, że już schodzisz.

Libby zbiegła na oddział nagłych wypadków. W dyżurce zastała Daryla, który pracował tu jako pielęgniarz, i Petera Caldwell. Daryl właśnie wprowadzał dane do komputera, a Peter siedział na krześle ze słuchawką przy uchu. Kiedy podeszła bliżej, pielęgniarz spojrzał na nią z wdzięcznością.

- Dzięki za pomoc - powiedział, prowadząc Libby za parawan, za którym leżała pacjentka. - Nazywa się Kathy Sanders, właśnie odebraliśmy jej wyniki z laboratorium. Ma anemię i nieco za wysoką liczbę białych ciałek. Najgorsze są wyniki moczu: biało, czerwone i białe krwinki i obfita flora bakteryjna.

Mocz zdrowego człowieka zazwyczaj jest prawie sterylny, więc informacje przekazane przez Daryla były rzeczywiście niepokojące.

- Infekcja nerek albo pęcherza? - zapytała Libby.

- Kilka tygodni temu pani Sanders przeszła kurację antybiotykową, jednak mimo to jej stan nie uległ poprawie. Badanie funkcji nerek wykazało nieco zawyżony poziom mocznika, co w połączeniu z białkiem w moczu może być objawem poważnego schorzenia.

Daryl podszedł do pacjentki.

- Kathy? To jest Libby. Zawiezie cię na górę.

- Jestem gotowa - odparła dziewczyna, krzywiąc twarz z bólu. Pod białym prześcieradłem, które podkreślało bladość jej cery i sińce pod oczami, rysowała się szczupła sylwetka. Matowe popielate włosy okalały twarz o wyostrzonych rysach.

Daryl zwrócił się do dziewczyny stojącej w pobliżu:

- Proszę napić się kawy, a my tymczasem zajmiemy się siostrą. Zabierzemy ją do pokoju... - spojrzał pytająco na Libby.

- Czterystajedenaście - wyjaśniła. - Zajmie to nam ze dwadzieścia minut.

Młoda blondynka ścisnęła drobną dłoń pacjentki.,

- 'Niedługo przyjdę. Nie bój się.

Scena ta przypomniała Libby chwilę, kiedy sama odwoziła

Elaine do szpitala. Odwróciła wzrok, zdziwiona, że mimo upływu czasu wspomnienie jest nadal aż tak bolesne.

Daryl ruszył w kierunku windy, pchając przed sobą łóżko na kółkach. Ku zdziwieniu Libby Peter wyszedł z gabinetu i położywszy kartę pacjentki na prześcieradle, zaproponował, że sam zawiezie ją na górę. Miał na sobie szare spodnie, koszulę w kolorze marengo i krawat o geometrycznym wzorze. Sprawiał wrażenie człowieka tak dystyngowanego, że trudno go było wziąć za pracownika szpitala.

- Jest pan pewien, doktorze? - Daryl z jednej strony ucieszył się, że będzie mógł wrócić do swych licznych zadań, z drugiej jednak nie był pewien, czy wypada, by lekarz zajmował się czymś tak przyziemnym jak transportowanie pacjentki.

- I tak jadę na górę. Damy sobie radę, prawda, Libby?

V Tak, tylko...

- No to wielkie dzięki. - Daryl natychmiast wrócił do komputera, a Peter i Libby ruszyli w kierunku wind.

- Dam sobie radę sama - zapewniła Libby.

- Nie wątpię, ale chciałbym cię jeszcze o coś zapytać.

Spodziewając się najgorszego, Libby spojrzała mu w prosto w twarz, lecz nie dostrzegła niczego niepokojącego.

- Ach, tak. Słucham - odrzekła, starając się mówić w miarę nonszalancko.

i

Wskazał głową na Kathy.

- Później.

Zanim zdążyła zadać następne pytanie, znaleźli się przed szeroko rozsuniętymi drzwiami windy. Libby nacisnęła guzik czwartego piętra.

- Pojadę sam, jeśli wolisz iść po schodach - szepnęła Peter.

- Ależ nie. - Widząc, że unosi z niedowierzaniem brwi, dodała: - Naprawdę, nic mi nie będzie.

Wjechali na górę, nie zatrzymując się po drodze. Kiedy Kathy została ułożona w łóżku, Peter odciągnął Libby na bok.

- Od razu podłączcie ją do kroplówki. Laboratorium pobrało

już próbki krwi, więc natychmiast podajcie jej antybiotyki. Zapisalem w karcie odpowiednie polecenia. I pilnuj jej.

- Dobrze.

Libby rozpoczęła normalną krzątanie, która zawsze towarzyszy przyjęciu nowego pacjenta. Kilka minut później nadeszła pielęgniarka z zespołu leczenia dożylnego, żeby założyć wenflon. W drzwiach pojawiła się siostra Kathy.

- Mogę wejść?

- Oczywiście. - Libby uśmiechnęła się do niej przyjaźnie. Pielęgniarka, która podłączała kroplówkę, skończyła pracę i zostawiła je same. - Masz na imię Becky, prawda? Jesteś starszą czy młodszą siostrą Kathy?

- Młodszą. - Becky odciągnęła ją na bok. - Kathy to cała rodzina, jaka mi pozostała. Wyzdrowieje, prawda?

Libby pomyślała, że historia lubi się powtarzać.

- Zrobimy wszystko, co się da.

- Nigdy jeszcze nie słyszałam o doktorze Caldwellu. Czy to dobry lekarz?

Zdając sobie sprawę, że zaufanie do szpitala ma ogromne znaczenie dla poprawy zdrowia pacjenta, Libby powtórzyła to, co usłyszała wcześniej w stołówce.

- Jest nowy, ale podobno niezwykle kompetentny. Siostra jest naprawdę w dobrych rękach.

Ulga, z jaką Becky przyjęła tę wiadomość, kazała się Libby zastanowić. Jeśli Peter nie jest aż tak dobry, jak o nim mówią, zażąda, by przeniósł Kathy gdzie indziej, albo namówi Becky, żeby sama poczyniła odpowiednie kroki.

- Gdybyście czegoś potrzebowały, zadzwonicie. Będę tuż za drzwiami.

Zostawiwszy siostry same, Libby wróciła do pokoju pielęgniarek, by uzupełnić dokumenty. Krótką chwilę później pojawił się Peter i przysiadł obok. Przyjemny zapach unoszący się wokół niego wprowadził Libby w stan roztargnienia. Jesteś śmieszna, powiedziała do siebie, próbując odzyskać równowagę.

- Podejrzenie posocznicy - przeczytała cichym głosem. - Biedna dziewczyna. To poważna diagnoza.

- Mam nadzieję, że się mylę. - Peter poruszył się niespokojnie. - Będziemy mieć pewność, gdy nadejdzie reszta wyników.

Libby wpatrywała się w kartę, próbując zdobyć się na odwagę.

- Jej siostra pytała o ciebie.

- I co jej odpowiedziałas?

- Że jesteś kompetentny i że Kathy znajduje się w dobrych rękach.

- Dziękuję za zaufanie. - Na twarzy Petera pojawił się cień uśmiechu.

Libby nachyliła się nieco do przodu.

- Mam nadzieję, że na nie zasłużysz - rzekła poważnie.

- Obawiasz się, że mogą coś sknocić?

- Jeśli masz jakiegokolwiek wątpliwości, przenieś ją do innego szpitala - powiedziała, unikając jego spojrzenia.

- Czy przypadkiem nie przekracza pani swoich kompetencji, siostrzo Brown? Mogę złożyć na panią skargę.

- Wiem.

- Jeśli podawanie w wątpliwość umiejętności lekarzy leży w twoim zwyczaju, to dziwię się, że jeszcze cię tu trzymają.

- Raczej mi się to nie zdarza. Ale w tym wypadku mam swój powód.

- Może raczysz wyjaśnić, jaki?

Odmówiła. Wiedziała, że jeśli rzeczywiście Peter złoży na nią skargę, może zepsuć jej dotychczas nienaganną opinię. Z drugiej jednak strony, Kathy musi mieć zapewnioną najlepszą opiekę. Twarz Petera nieco złagodniała.

- Domyślam się, że ma to jakiś związek z twoją rodziną.

- Owszem - przyznała, dziwiąc się, że jest aż tak domyślny.

- Więc tym razem postaram się nie czuć osobiście dotknięty.

Po chwili milczenia odezwał się tonem pozbawionym wcześniejszego napięcia:

- Kathy jest mniej więcej w twoim wieku, prawda?
- Tak, jest tylko o rok młodsza. Jakie są rokowania?

Osiągnąwszy, co chciała, Libby chętnie przyjęła pojednawczy ton.

- Średnie. Wszystko zależy od tego, jak zareaguje na leki
- wyjaśnił po namyśle.

Nagle Libby wyobraziła sobie, że znajduje się w podobnym położeniu. Kto by się wtedy zajął Kyle'em? Rodzice nie żyją, ciotka i wuj są po siedemdziesiątce, a ich wojowniczo nastawiona do życia córka z pewnością nie jest odpowiednią osobą, by zająć się wychowaniem dziecka. Może jednak powinna się przygotować na taką ewentualność? W końcu nigdy nie wiadomo, co przyniesie przyszłość.

- Nie załamuj się. To jeszcze nie koniec świata. Widywałem już pacjentów w gorszym stanie, którym udawało się wyzdrowieć.

- Oczywiście. Nigdy nie należy tracić nadziei.

Peter oparł się rękami o biurko.

- Możemy chwilę porozmawiać?
- O czym? - zapytała ze ściśniętym sercem.
- Mam problem. Pani Bridges nie ma prawa jazdy, a ja nie zawsze mogę się wyrwać ze szpitala, żeby odebrać Samanthę ze szkoły. Mogłabyś ją podrzucić do domu?

Libby odetchnęła z ulgą.

- Oczywiście, z przyjemnością. W dni, kiedy sama pracuję do późna, Kyle'a odbiera sąsiadka, Sylvia Posy.

- Sądzisz, że zgodzi się podwozić Samanthę?

- Na pewno. Sylvia kocha dzieci.

- No to załatwione. Jeśli o mnie chodzi, mogę ich oboje zawozić rano.

- Naprawdę nie ma takiej potrzeby - odpowiedziała bez chwili namysłu. - I tak mijamy wasz dom po drodze, więc nie ma mowy o żadnym długu wdzięczności. - Libby chciała ograniczyć do minimum kontakty między Kyle'em a Peterem. Fakt, że dotychczas jej nie rozpoznał, nie oznacza, że mogłaby pozwolić sobie na nieostrożność.

- To żaden kłopot. Przecież mieszkacie tuż obok - nalegał. Libby pozostała nieugięta.

- Wielkie dzięki, ale nie lubię zmieniać przyzwyczajeń. Dam ci znać, kiedy naprawdę potrzebna nam będzie pomoc - zapewniła, zdając sobie sprawę, że zrobi wszystko, by nie dopuścić do takiej ewentualności.

- No dobrze. Nie chcę się narzucać. - Peter nie spuszczał z niej oczu. - Mam nadzieję, że uda nam się w końcu wypracować jakąś formę rewanżu.

- Wierz mi, cała przyjemność po mojej stronie. To miło móc pomagać nowym sąsiadom - zapewniła, wbijając wzrok w kartę pacjentki.

- A propos, skoro jesteśmy sąsiadami, to mam nadzieję, że w stosunku do mnie Kyle nie musi przestrzegać zasady niezadawania się z obcymi.

Libby nagle zrozumiała, co to znaczy znaleźć się między młotem a kowadłem.

- Chyba nie.

Na twarzy Petera pojawił się uśmiech. Najwyraźniej nie zauważył, z jakim trudem przyszło jej wyrazić zgodę.

- To świetnie, bo chcielibyśmy zabrać Kyle'a na basen do klubu. Może i ty się wybierzesz?

Wyobraziwszy sobie jego wysportowane ciało pokryte kropelkami wody, Libby nagle poczuła suchość w ustach.

- Ja nie należę do klubu.

- Ale możecie pojechać jako moi goście.

- Kyle nie pływa zbyt dobrze.

Mam uprawnienia ratownika. Z chęcią go poduczę.

Pomyślała, że Peter Caldwell ma rzeczywiście nieprawdopodobną siłę przekonywania. Jeśli Bryce atakował Elaine z równą mocą, nic dziwnego, że się mu poddała.

- Tylko że najbliższe soboty i niedziele będziemy mieć zajęte. Przecież zbliżają się święta.

Wyraz jego twarzy wskazywał, że nie bardzo jej wierzy.

W pewnym sensie miał rację, bo Libby nigdy dotychczas nie ograniczała Kyle'owi kontaktów z rówieśnikami.

- Gdybyście znaleźli trochę wolnego czasu albo gdybyś chciała pozbyć się Kyle'a na chwilę, żeby poszukać prezentów pod choinkę, przyślij go do nas.

Libby nabrała nagle podejrzliwości.

- Czy proponowałeś to samo innym znajomym Samantha? Spojrzał na nią ze zdziwieniem.

- Chyba nie.

- To dlaczego zapraszasz właśnie mojego syna?

Peter odchylił się na krześle i skrzyżował ręce na piersi.

- Sam nie wiem. Czy zdarzyło ci się kiedyś spotkać kogoś, z kim od razu poczułabyś jakąś szczególną więź?

Libby zacisnęła usta. Poczowała, jak ogarniają lęk. Nie spuszczać oczu z twarzy Petera, zmusiła się do zachowania spokoju.

- Bo ja właśnie tak się poczułem, kiedy pierwszy raz ujrzałem Kyle'a. Wychowałaś go na świetnego chłopca.

- Dzięki.

- Chyba od dawna jesteście sami?

Otarła spocone dłonie o poły fartucha.

- Owszem.

- To widać. Jesteś bardzo niezależna.

Nie wiedząc, czy powinna się ucieszyć, czy obrazić, przyjrzała się mu uważnie.

- Czy to źle?

Nad salą czterysta szesnaście zapaliło się światełko. W tej samej chwili odezwał się pager Petera. Libby z ulgą podsunęła mu telefon. Ostatnią rzeczą, jakiej sobie życzyła, była rozmowa na temat przeszłości.

Eldon Honover wezwał Petera do działu administracji.

- Dziękuję, że znalazłeś czas na przestudiowanie naszego raportu za ostatnie dwa kwartały - powiedział. - Jeśli coś pominąłem, nikt poza tobą tego nie odkryje. Naprawdę się cieszę,

że nareszcie mam w szpitalu lekarza, który zna się na zarządzaniu, i do tego należy do grona starych przyjaciół.

Peter rzucił teczkę z dokumentami na biurko Eldona.

- Dziękuję za komplement, ale obawiam się, że miałeś rację.

- To znaczy, że i tobie nie udało się niczego wymyślić?

- Nie ma co ukrywać, ponosicie straty. Ograniczenia kosztów, które wprowadziłeś, nie przyniosły dostatecznych efektów.

- Nienawidzę zwalniania pracowników. Ten szpital jest jednym z największych miejsc pracy w okolicy.

- Tylko że jeśli nie zbilansujesz wydatków i przychodów, nie będziesz miał wyjścia. Z drugiej strony, z medycznego punktu widzenia, nie możesz poświęcić dobra pacjentów dla głupich kilku dolarów. To naprawdę delikatny problem. Trzeba osiągnąć jakąś równowagę, a to nie będzie łatwe.

- Wiem - westchnął Eldon. - Właśnie dlatego poprosiłem cię o pomoc. Miałem nadzieję, że może tobie coś przyjdzie do głowy.

- Jeśli zatrudnisz dodatkowych lekarzy i uda ci się przekonać ludzi, żeby leczyli się właśnie tutaj, może nie będziesz musiał uciekać się do drastycznych środków.

- A tymczasem?

- Tymczasem trzeba to przetrzymać i zacisnąć pasa.

- Wydam zakaz przyjmowania nowego personelu. Poza tym nie zatrudnię nikogo na miejsce pracowników przechodzących na emeryturę.

- Ograniczenie godzin nadliczbowych i zamrożenie płac też powinno przynieść pewne oszczędności. Ale jeśli to nie wystarczy, będziesz musiał zastosować ostrzejsze cięcia.

Eldon zacisnął usta.

- Na wszelki wypadek zwrócę się do kadr z prośbą o przygotowanie listy pracowników z najdłuższym stażem. Dziękuję za pomoc.

- Drobiazg. Od dawna nie miałem okazji zajmować się fi-

nansami. Tylko pamiętaj: jeśli zauważę, że pacjenci nie otrzymują wszystkiego, co im się należy, sam zorganizuję akcję protestacyjną.

Eldon uśmiechnął się.

- Nie musisz mi przypominać, że niełatwo z tobą wygrać. A co poza tym? Urządziłeś się już? Jak córka? Podoba jej się w nowej szkole?

Na samo wspomnienie radości, z jaką Samantha każdego ranka wybierała się do szkoły, twarz Petera rozjaśniła się uśmiechem.

- Jest zachwycona. W dodatku dała się wciągnąć w to wasze świąteczne szaleństwo. - Spoważniał. - Tylko nie wiem, czy sam jestem gotów, żeby stawić mu czoło.

- Minęło już parę lat, prawda?

- Cztery. Przez ten czas starałem się traktować święta jak każdy normalny dzień. Wszystkie te przygotowania, przyjęcia i dekoracje nie kojarzą mi się przyjemnie. Przecież święta powinny być czasem pokoju i pojednania, a nie zdrady, i to ze strony własnej żony.

- Najwyższy czas, żeby Boże Narodzenie zaczęło ci się kojarzyć z czymś przyjemnym.

- Może masz rację - przyznał Peter, wracając myślami do Libby, Kyle'a i świątecznego konkursu.

- To nie powinno być zbyt trudne. Każda panna w szpitalu dałaby się zabić za randkę z tobą.

- Wiem - odrzekł Peter z przekąsem. - Chwilami wydaje mi się, że jestem w samym środku żerującego stada. Dzisiaj pewna dama zatrzymała mnie w bufecie i zaproponowała, że zafunduje mi obiad.

- Zawsze umiałeś radzić sobie z kobietami. Ty i Bryce. A propos, co u niego?

- W porządku. Jest wiceprezesem Caldwell Industries. Ożenił się, ma trzy córki. Zwykle spotykamy się, kiedy przyjeżdżam do Lawrence na święta.

- Może w tym roku znajdziesz kogoś, kogo będziesz chciał przedstawić rodzicom.

- Nie sądzę. - Przed oczami stanęła mu Libby ostrzegająca go przed popełnianiem błędów. Ona jedna zdawała się nie przejawiać żadnego zainteresowania jego osobą.

- Chyba nie jest ci łatwo samotnie wychowywać córkę?

- Mamy gosposię.

- To nie to samo. Nie mogę sobie wyobrazić, jak dałbym sobie radę z dziewczynkami, gdyby nie Tonya.

Peter znowu pomyślał o Libby.

- Wiesz, mam całkiem intrygującą sąsiadkę.

- Uśmiechasz się, kiedy o niej mówisz - powiedział Eldon głosem eksperta.

- Satnmnie uważa, że jest cudowna. Nazywa się Libby Brown i pracuje w szpitalu jako pielęgniarka.

Eldon zmarszczył czoło, próbując sobie przypomnieć, o kogo chodzi.

- Nic mi nie mówi to nazwisko.

- Pamiętasz tę dziewczynę, której kiedyś zrobiło się słabo w windzie? Wysoka, długie kręcone włosy, duże oczy, ładna.

- Coś zaczynam kojarzyć. Chyba przyjeśliśmy ją niedawno.

Ta ostatnia informacja sprawiła, że zachowanie Libby jeszcze głębiej go zaintrygowało. Mimo krótkiego stażu ryzykuje naganę?

- Naprawdę się nią interesujesz?

Peter wzruszył ramionami.

- Libby z synem mieszkają w sądzieztwie. Jest jedyną kobietą wolnego stanu, która nie traktuje mnie jak kandydata na męża. Jest uprzejma i dość przyjacielska, jednak przez cały czas zachowuje się z dużą rezerwą.

- I mówisz, że Samantha ją lubi?

- To mało powiedziane. Od czasu, kiedy Libby zaprosiła ją udziału w świątecznych przygotowaniach, mała mówi tylko o niej.

- To świetnie. Nie będziesz musiał się martwić, że Sam nie dogada się z macochą.

- Niby tak.

- Z drugiej strony, może ta dziewczyna próbuje wykorzystać dziecko, żeby zbliżyć się do ciebie?

- Nie sądzę. - Peter miał w pamięci skrępowanie, z jakim Libby zwykle zachowywała się w jego towarzystwie.

- Mam pomysł. - Eldon podniósł słuchawkę. - Pani Fitzgerald, może pani pozwolić na chwilkę do mojego gabinetu? - powiedział. - Moja sekretarka pracuje tu od zawsze i wie wszystko o wszystkich. - Mrugnął do Petera porozumiewawczo. - Oczywiście chcemy tylko ustalić, czy Libby nie wyrwie niepożądanego wpływu na twoją córkę.

W drzwiach pojawiła się elegancka pani w średnim wieku.

- Pan mnie wzywał, dyrektorze?

- Owszem. Czy może nam pani udzielić informacji na temat Libby Brown? Doktor Caldwell jest jej sąsiadem i ma córkę w wieku jej syna, więc...

Po chwili namysłu sekretarka zwróciła się bezpośrednio do Petera:

- Libby to znakomita pielęgniarka. Poza tym jest niezwykle oddana synkowi. Zaczęła pracę u nas stosunkowo niedawno, po kursie pomocy medycznej. W tym czasie ukończyła szkołę pielęgniarską, choć zajęło jej to więcej czasu niż innym, bo nie mogła pozwolić sobie na uczęszczanie na wszystkie zajęcia. Uzyskała dyplom w zeszłym roku i zatrudniliśmy ją jako siostrę dochodzącą. Z formalnego punktu widzenia nie jest to pełen etat, ale Libby należy do tych kobiet, które wypracowują pełne czterdzieści godzin tygodniowo. Siostry oddziałowe same się o nią dopominają.

Eldon był wyraźnie zadowolony.

- A nie mówiłem? Pani Fitzgerald, ma pani naprawdę fenomenalną pamięć. Na pewno nie chce pani przełożyć na później przejścia na emeryturę?

- Niestety, nie - odrzekła z uśmiechem.
- Jest wdową czy rozwódką? - spytał Peter.

Sekretarka zmarszczyła czoło.

- Nie jestem pewna. O ile pamiętam, Libby przeprowadziła się tutaj z dzieckiem, kiedy chłopiec jeszcze raczkował. Żadnego pana Browna przy niej nie było. Cokolwiek przytrafiło się jej w życiu, musiało to mieć miejsce, zanim przybyła do Belleville.

- Dziękuję.
- Cieszę się, że mogłam pomóc.

W tym momencie zadzwonił pager Petera.

- Wewnętrzny czteryjeden pięć. To czwarte piętro, prawda?
- zapytał.

Eldon przytaknął i podsunął mu telefon.

- Lepiej tam pójde. - Peter podniósł się z miejsca. - Pewnie chodzi o pacjentkę, którą dziś przyjąłem.

Udał się na oddział, pełen niepokoju.

- Kathy krwawi spod wenflonu - obwieściła Libby, gdy tylko pojawił się na miejscu.

Objaw był na tyle niepokojący, że Peter natychmiast zlecił dodatkowe badania.

- Niech sprawdzą poziom fibrynogenu.

Libby błyskawicznie sięgnęła po telefon.

- Laboratorium pyta, czy mogą użyć próbek krwi pobranych na izbie przyjęć.

- Tak.

Libby przekazała instrukcje i odłożyła słuchawkę.

- Wyniki powinny być za kwadrans.
- To dobrze. - Peter ponownie przeanalizował swoją diagnozę.

- Co jej jest? - spytała Libby z niepokojem;

- Chyba zakrzepica.

- To znaczy, że we krwi tworzą się skrzepy, tak?

- W pewnym uproszczeniu. Ścisłej mówiąc, mamy do czy-

nienia z przypadkiem, gdzie mechanizmy krzepnięcia krwi ulegają nadmiernej stymulacji w wyniku urazu. Powoduje to zakrzep włóknika, co z kolei wydłuża czas krzepnięcia, a w osoczu pojawiają się produkty rozpadu włóknika. To z kolei wywołuje zaburzenia w funkcjonowanie płytek krwi i doprowadza do zwiększonego krwawienia.

- I stąd krew w moczu.

- Właśnie. Kiedy organizm nie jest w stanie sam poradzić sobie ze skrzepami, włóknik odkłada się w żyłach i naczyniach. Nerki, które funkcjonują jako filtr krwi...

- Same ulegają zatkaniu.

- Można to tak ująć. W każdym razie, bez odpowiedniego leczenia, choroba może doprowadzić do poważnego uszkodzenia nerek.

Libby zbladła.

- Zawsze myślałam, że zakrzepica jest wynikiem obumarcia płodu. Ale przecież Kathy nie jest w ciąży.

- Zdarza się, że chorobę wywołują pewne nowotwory złośliwe i infekcje. W tym ostatnim przypadku zwykle czynnikiem chorobotwórczym są bakterie gram-ujemne, takie jak koli. Ale znam też przypadek, kiedy wywołał ją gronkowiec złocisty. Skoro Kathy gorączkuje, sądzę, że w jej przypadku to właśnie kwestia infekcji.

Libby odetchnęła z ulgą.

- Więc antybiotyk powinien pomóc?

- Jeśli uda nam się zwalczyć przyczynę, choroba powinna ustąpić.

- Dlaczego powiedziałaś „powinna”?

- Szanse Kathy na wyzdrowienie zależą od stopnia uszkodzenia nerek. Niektórym pacjentom się udaje, innym... - Nie chciał robić jej złudzeń.

- A przeszczep?

- Jest możliwy, ale nie wyprzedzajmy wydarzeń. Na razie nawet diagnoza nie jest jeszcze potwierdzona do końca.

W kącie zawarczała drukarka. Libby drgnęła.

- Może to już wyniki?

Rzeczywiście, laboratorium dotrzymało słowa.

- Tak jak myślałem - mruknął Peter, zerknąwszy na cyfry - choć wołałbym się mylić. - Wstał z miejsca. - Nie jestem pewien, gdzie będę, więc zostaw mi wiadomość na pagerze, jeśli coś się wydarzy.

- Dobrze.

Peter spędził następne kilka godzin, zaznamiając się z sytuacją na poszczególnych oddziałach. O trzeciej był już po pracy. Podświadomie przeszedł obojętnie obok windy i skierował się ku schodom. Otworzył drzwi na klatkę i uśmiechnął się na widok Libby schodzącej na dół.

- Idziesz do domu? - zapytał

- Owszem. - Rzuciła mu zdziwione spojrzenie. - Co, winda się zepsuła?

- Nie, ale chciałem rozprostować kości. - Nagle dojrzała w nim myśl, która nie dawała mu spokoju od kilku godzin.

- Słuchaj, szukam pielęgniarki do pracy w przychodni.

Zatrzymała się gwałtownie.

- To znaczy, że siostra, która pracowała z doktorem Greenburgiem, odchodzi?

- Jej mąż chce wyjechać, więc złożyła wypowiedzenie.

- Rozumiem. Jeśli któraś z koleżanek będzie szukała nowej pracy, przyślę ją do ciebie.

- Właściwie już dokonałem wyboru - powiedział po chwili wahania. - Może ty zechciałabyś dla mnie pracować?

ROZDZIAŁ CZWARTY

Libby nie wierzyła własnym uszom.

- Co? Ja miałabym u ciebie pracować?
- Owszem - odparł z uśmiechem.
- Ale dlaczego?
- A dlaczego nie?

Zagryzła wargi. Znała kilka powodów, jednak żadnego z nich nie mogła wyjawić. Zdecydowała się na jedyne wyjaśnienie, jakie uznała za w miarę przekonujące.

- Bardziej odpowiada mi ruch na oddziałach szpitalnych.
- To faktycznie trudna decyzja. Zamieniłabyś całodzienne ganianie, pracę za dwoje i zajęte weekendy i święta na regularne godziny i zdecydowanie spokojniejszy tryb pracy - zauważył nie bez ironii.

- Szpital lepiej płaci.
- Wyrównałbym różnicę.

Libby czuła rosnące podniecenie.

- Chyba żartujesz?
- Wcale nie.

O niczym tak nie marzyła, jak właśnie o takiej pracy, a jednak...

- Każda inna pielęgniarka skakałaby do góry z radości, ale...

- Ale nie ty - skończył za nią.

Wzruszyła ramionami.

- W każdym razie dzięki, że o mnie pomyślałeś.
- Jaki masz staż w szpitalu?

- Praktycznie żaden. Jestem licencjonowaną pielęgniarką dopiero od maja.

- Wiesz, że możliwe są zwolnienia?

- To tylko plotki.

Odwróciła się i ruszyła na dół. Gdy znaleźli się na parterze, Peter wyciągnął rękę i przytrzymał drzwi prowadzące na korytarz.

- To nie są plotki.

- A skąd ty możesz to wiedzieć? - Zanim skończyła zadawać pytanie, wiedziała, jaką otrzyma odpowiedź.

- Eldon jest moim starym znajomym. Rozmawiałem z nim na ten temat parę godzin temu.

- Dlaczego mi o tym mówisz?

W kącikach ust Petera pojawił się niewyraźny uśmiech.

- Czy wiesz, że bez przerwy zadajesz mi to samo pytanie? Moja rodzona córka nie jest aż tak dociekliwa.

Libby otuliła się ramionami.

- Próbuję zrozumieć, czym się kierujesz. Ludzie rzadko bywają bezinteresowni.

- Nie chciałbym, żebyś straciła okazję.

- A co cię obchodzi, czy będę miała pracę, czy nie?

- Bo nie jest mi obojętne, co się z tobą stanie.

Pokręciła głową ze zdziwienia.

- Nie jest mi to obojętne, bo Sam cię lubi, a ja uważam, że Kyle jest wspaniałym dzieckiem. - Potarł dłonią kark. - A poza tym jesteś pełna życia i bardzo tajemnicza...

Libby przeraziła się. Nie wolno mu tak myśleć.

- Moje życie jest jak otwarta książka - skłamała.

- Czasem wydaje mi się, że już cię kiedyś spotkałem.

Serce waliło jej w piersi jak oszalałe.

- Mówią, że każdy ma swojego sobowtóra.

- I jeszcze coś. Podziwiam cię.

- Niemożliwe - szepnęła zduszonym głosem.

- Osiągnęłaś tak wiele. Wychowujesz dziecko i zdobyłaś

wykształcenie, nie przerywając pracy. Musiało ci być naprawdę ciężko.

Przymknęła oczy. Nie potrafiła zrozumieć, skąd w nim tyle współczucia.

- Co w tym godnego podziwu? Przecież wokół jest wielu samotnych rodziców. Sam do nich należysz.

- Tak, tylko że w czasie, kiedy ja studiowałem, moi rodzice i kolejne gosposie częściej widywali Samanthę niż ja sam. Nauka nie zostawiła mi czasu na życie rodzinne. W każdym razie chciałem ci teraz pomóc.

„Powinnaś z wdzięcznością przyjąć pomoc, jaką Bryce raczy ci ofiarować”. Wspomnienie tamtych słów dzwoniło jej w uszach. Może teraz wyraził się inaczej, jednak sens pozostał ten sam. Ogarnął ją nagły chłód.

- Dziękuję, ale nie potrzebuję pomocy - oznajmiła suchym tonem, a w duszy dodała jeszcze, że dziesięć lat wcześniej jej siostra rzeczywiście potrzebowała pomocnej dłoni.

- Jesteś najbardziej upartą kobietą, jaką kiedykolwiek spotkałem - zauważył z rezygnacją.

- Pozwól, że potraktuję to jako komplement.

- Dobrze, a teraz pozwól, że ja zadam ci pytanie. Czy jesteś równie niekooperatywna w kontaktach z innymi, czy tylko ze mną?

- Wolę polegać na sobie. - Czując się jak zwierzę zamknięte w klatce, wskazała drzwi. - Mogę już iść?

Peter nie ruszył się z miejsca.

- Twój były mąż musiał ci wyciąć jakiś niezły numer?

- Nigdy nie byłam mężatką - odrzekła bez zastanowienia i od razu pożałowała, że tym razem zawiodło ją opanowanie.

- To znaczy, że facet zostawił cię na lodzie, tak?

Jak mogła tak się wygadać? Teraz Peter ma jeszcze jedną wskazówkę, dzięki której może odkryć prawdę.

- Owszem - z trudem przełknęła ślinę - tylko tutaj nikt o tym nie wie.

- Nie przejmuj się. Nikomu nie powiem.

Nie była przygotowana na ujmujący, łagodny ton, jakim się do niej zwrócił.

- Pozwól mi odejść, proszę - szepnęła łamiącym się głosem.

Widząc, że jest bliska łez, Peter otworzył drzwi i Libby wybiegła na korytarz. Po kilku krokach odwróciła się.

- Jeszcze raz dziękuję za propozycję, ale nie mogę jej przyjąć - powiedziała.

- Przez najbliższy tydzień nie zamierzam podejmować decyzji, więc jeśli zmienisz zdanie...

Zmusiła się do uśmiechu i ruszyła przed siebie. Tak bardzo chciałaby przyjąć tę posadę. Pensja, godziny i tryb pracy - o niczym lepszym nie mogła nawet marzyć. Każda pielęgniarka na jej miejscu nie posiadałaby się z radości.

W dodatku czuła się mocno zaniepokojona możliwością utraty obecnego zajęcia. Z drugiej strony, przyjęcie propozycji oznaczałoby, że rzuca wyzwanie losowi, a na to brakowało jej odwagi.

Dwa dni później Peter, kuląc się z zimna, stał na werandzie, jej domu, trzymając w ręku talerz. Nie widział Libby od czasu pamiętnej rozmowy na schodach i teraz wcale nie był pewien, jak go przyjmie.

Pocieszał się, że skoro zaprosiła Sam po szkole na wspólne pieczenie ciasteczek, nie powinno być najgorzej.

- Cześć - powiedziała, otwierając drzwi. - Proszę, wejdź. Czas strasznie szybko leci. Naprawdę nie miałam zamiaru zatrzymywać Sam aż tak długo.

Z progu usłyszał głosy dzieci śpiewających kolędy.

- Nie martw się. Po prostu postanowiłem, że wpadnę zobaczyć, co robicie. - W powietrzu unosił się niepowtarzalny aromat pieczonego ciasta. - Wspaniałe! Zresztą ten placek też był pyszny - powiedział, oddając jej talerz.

Libby zarumieniła się.

- Mam nadzieję, że smak będzie równie wspaniały, jak zapach - powiedziała i zaprosiła go do kuchni.

Zarówno jej twarz, jak i ubranie pokryte były cieniutką warstwą mąki, a kawałki lukru przylepiły się do policzka. W szpitalu, w stroju pielęgniarki, wyglądała świetnie, ale teraz jej widok w obcisłych dżinsach i przylegającej do ciała bluzeczce oszołomił go zupełnie. Włosy, związane w koński ogon, rozsypywały się na długiej szyi. Wyobraził sobie, jak przyjemny musi być dotyk jej aksamitnej skóry.

Co za szkoda, że odrzuciła zaproszenie na basen. Tak miło byłoby zobaczyć ją w kostiumie kąpielowym, pokrytą błyszczącymi kropelkami wody...

Widok córki sprowadził go na ziemię.

- Jak idzie pieczenie, Sammie?

Dziewczynka stała przy stole na niskim taborecie, a wokół niej unosił się obłok mąki.

- Świetnie, tato. Sam zobacz.

Zajrzał jej przez ramię. Kruche ciasteczka w kształcie choinki pokrywały całą blachę. Niektóre były nieco krzywe, na innych pozostał wyraźny odcisk kciuka.

- Czyż nie są po prostu piękne? - zapytała Sam z przejęciem.

- Będą jeszcze ładniejsze, kiedy polejemy je lukrem - zapewniła Libby, wsuwając blachę do piecyka.

- Mogę zanieść jedno pani Bridges?

- Możesz wziąć połowę - uśmiechnęła się Libby.

Sam klasnęła w dłonie, wznosząc wokół siebie kolejną chmurę mąki.

- Cudownie! - Po chwili na jej twarzy pojawił się wyraz zawodu. - Musimy już iść do domu?

- A co, chcesz jeszcze zostać? - zapytał Peter, z góry wiedząc, jaką uzyska odpowiedź.

- Koniecznie, bo jeszcze nie skończyliśmy. Kyle i Libby liczą na moją pomoc - stwierdziła Sam z powagą.

- Rozumiem. - Peter rozejrzał się po zabałaganionej kuchni.
- Świetnie się bawimy, a przecież o to właśnie nam chodzi
- zapewniła go Libby.

- Miło to słyszeć, szczególnie że, jak widzę, ta panna zdemolowała ci kuchnię.

- To nic takiego, wystarczy posprzątać.

Sam uwiesiła się u jej ręki.

- Mamy tyle ciasteczek do dekorowania. Może tata mógłby nam pomóc?

- Jeśli tylko ma na to ochotę. - Libby wiedziała, że nie może zawieść pokładanych w niej nadziei. Poza tym cieszyła się, że Peter najwyraźniej nie żywi do niej urazy, mimo że odrzuciła jego ofertę.

Oczy Kyle'a i Samantha świeciły z przejęcia.

- Bałem się, że nie doczekam się zaproszenia - powiedział Peter, podwijając rękawy. - Co mam robić? - spytał, zajmując miejsce na stołku obok Libby.

Libby była zafascynowana widokiem jego długich palców i silnych rąk, toteż nie usłyszała pytania. Dlaczego nie może się skupić? Przecież już widziała te ręce! Ciekawe, co by zrobiła, gdyby przyszło jej zobaczyć go bez koszuli?

- Mężczyźni będą pracować razem, a dziewczyny stworzą drugi zespół - oświadczył Kyle, przejmując inicjatywę.

- Zgoda. A w ogóle to jedliście już kolację?

Libby z trudem odwróciła uwagę od jego ramion ukrytych pod bawełnianą koszulą. Zapach kosmetyków Petera zdecydowanie bardziej przypadł jej do gustu niż woda toaletowa, której używał Ralph, jedyny mężczyzna dotąd siadający przy tym stole.

- Obawiam się, iż napróbowaliśmy tyle słodkości, że zupełnie odechciało nam się jeść. Ale miałam zamiar wstawić do piekarnika pizzę, jak tylko ta blacha się upiecze - poinformowała, pokrywając kolejną gwiazdkę złotym lukrem, po czym przekazała ją Sam, żeby domalowała kolorowe łańcuchy,

- Myślałem, że może zamówimy...

- Tak! - ucieszyły się dzieciaki. - Weźmiemy hawajską i pepperoni.

- Zgadzasz się? - zapytał Peter.

Libby szybko przeliczyła w myślach zawartość portmonetki.

- Chyba tak.

Peter zadzwonił do pizzerii i powrócił do stołu. Sam malowała właśnie łańcuchy na kolejnym ciasteczku.

- Kyle powiedział, że możemy z nimi pojechać na kiermasz do Elfa, żeby zobaczyć renifera.

- Naprawdę?

- Tak. I że nas zabiorą na plantację choinek. Prawda?

Libby przełknęła ślinę. Owszem, zaprosiła Sam, ale nie brała pod uwagę Petera, choć powinna była wiedzieć, że dziewczynka niewątpliwie powie o tym ojcu.

- Jeśli tata ma tylko ochotę - powiedziała.

- Poza tym będziemy śpiewać kolędy w domu opieki dla starszych ludzi. Nasza pani mówiła, że bardzo się im to podoba.

- To ładnie z waszej strony - pochwalił Peter, nie spuszczać oczu z Libby.

- Pojedzie pan z nami, prawda? - dopytywał się Kyle.

- To zależy od twojej mamy.

Kyle skierował na nią wzrok pełen nadziei.

- Doktor może z nami pojechać, dobrze?

- Oczywiście. - Nic innego nie wypadało jej powiedzieć.

- Mam nadzieję, że nie wejdę w paradę żadnemu zazdrosnemu adoratorowi.

Niestety, nie mogła zaprzeczyć.

Peter uśmiechnął się.

- No to będę wam towarzyszyć, jeśli znajdę wolną chwilę, ale nie mogę niczego obiecać.

- To dlatego, że tata musi pomagać chorym - wyjaśniła Sam Kyle'owi i rozejrzała się wokół. - Skończyliśmy?

Libby wyczuła, że dziewczynka jest już znużona.

- Prawie, zostało tylko kilka ciasteczek - rzekła, wyskrobując zielony lukier z miseczki.

Akurat w chwili, gdy ostatnia choinka wylądowała na tacy, odezwał się dzwonek przy drzwiach. Libby sięgnęła po portmonetkę.

- Kyle, idźcie z Sam wymyć ręce. Kolacja przyjechała.

Dzieci pędem ruszyły do łazienki.

- Bądźcie moimi gośćmi - poprosił Peter.

Otworzyła usta, by zaprotestować, ale ją ubiegł.

- Żadnych protestów - powiedział, kierując się zdecydowanie ku drzwiom. Libby szybko sprzątnęła ze stołu, rozstawiła talerze i napełniła szklanki wodą mineralną.

- Mamo, możemy zjeść w pokoju? Sam nie widziała jeszcze tego świątecznego filmu z Charliem Brownem, który mamy nagrane. Moglibyśmy go obejrzyć, jedząc.

- Pod warunkiem, że nie nabradzicie.

Ostrożnie przeniosła ich talerze i szklanki do pokoju. Dzieciaki pobiegły za nią.

- One mają zdrowie, prawda? - zauważył Peter, nakładając sobie dwa trójkąty pizzy.

Libby wstawiła brudne naczynia do zlewu i zajęła miejsce przy stole.

- Czasem zazdroścę im energii.

- Spróbuj sobie wyobrazić, ile moglibyśmy osiągnąć, mając tyle wigoru. A tak a propos, już nie szukam pielęgniarki.

- Nie? - zdziwiła się, próbując ukryć irracjonalne uczucie rozczarowania.

- Mavis zdołała namówić męża do odłożenia wyjazdu, więc na razie zostaje.

- To dobrze, masz problem z głową.

- Niby tak, ale trochę szkoda, że zmienili plany. Nigdy nie wiadomo, co przyniesie przyszłość.

- Przemawia przez ciebie doświadczenie czy teoretyzujesz?
- spytała z uśmiechem.

- I jedno, i drugie.

W kąciuku jego ust zobaczyła odrobinę sosu pomidorowego. Instynktownie chciała wziąć serwetkę, żeby ją wytrzeć. Muszę więcej czasu spędzać wśród dorosłych, pomyślała. Jeszcze chwila, a zacznę mu kroić pizzę na drobne kawałki.

Chwilę później kolejna kropla sosu wylądowała na kieszonce beżowej koszuli Petera. Do tej pory zawsze widziała go w nieskazitelnie czystym ubraniu, co nadawało mu dystyngowany wygląd. Teraz, w poplamionej koszuli, wyglądał całkiem zwyczajnie.

- Będzie ci potrzebna - powiedziała, podając mu serwetkę.

- Jestem gorszy niż dziecko. - Spróbował usunąć zabrudzenie, lecz tylko rozmazał plamę.

- Poczekaj. - Libby wzięła czystą ściereczkę i zamoczyła ją w wodzie. Peter ponowił próbę, ale plama nie zniknęła.

- Może mnie się uda? - powiedziała, wsuwając dłoń pod jego koszulę. Gdy poczuła ciepło jego skóry i delikatne łaskotanie włosów, szybko cofnęła rękę. - Gdzieś powinnam mieć odplamiacz. Zaraz poszukam.

Otworzyła szafkę, w której trzymała środki czystości. Zanim się odwróciła, Peter zdążył zdjąć koszulę. Zamarła w bezruchu, wpatrując się w okolice serca i niemal słysząc jego równomierne uderzenia.

Peter podał jej koszulę.

- Pomyślałem, że tak będzie łatwiej, więc zdjąłem.

- Nie będzie ci zimno? - zapytała, próbując odzyskać panowanie nad sobą.

- Nie. Tu jest bardzo ciepło.

Otarła czoło, czując, że ją samą oblewa fala gorąca, która niewiele ma wspólnego z ciepłem dobywającym się z piekarnika. Starła się oddychać głęboko, wyobrażając sobie przy tym to, co zazwyczaj kojarzy się z chłodem: Antarktydę, pingwiny i lód. A jednak nie odczuła ulgi.

Kilka minut później plama została usunięta. Libby osuszyła mokre miejsce ręcznikiem.

- Gotowe - powiedziała.

- Dziękuję. - Kończył zapinać guziki, kiedy z pokoju obok dobiegł głośny kaszel.

- Twój czy moja? - zażartował Peter.

- Chyba Sam. Kyle nie miał nawet chryпки.

Gdy kaszel nie ustawał, oboje wymienili zaniepokojone spojrzenia. Peter właśnie miał wkroczyć do akcji, kiedy Sam zawołała przerażonym głosem:

- Tatusiu, chodź szybko!

Wpadł do pokoju. Kyle leżał na podłodze z siniejącą twarzą, a Sam waliła go ręką po plecach.

- On się dusi! - zawołała.

Peter odsunął córkę i ukląkł obok chłopca.

- Co się stało?

Sam była biała ze strachu.

- Wcale się nie wygłupialiśmy. Zwyczajnie jedliśmy pizzę i nagle Kyle zaczął kaszleć.

Libby nachyliła się nad synkiem.

- Możesz mówić?

Oczy chłopca przepełniała trwoga. Pokręcił głową, łapiąc z trudem oddech.

- Nie bój się. Zaraz wydostanę ten okruc.

- Pozwól, że ja to zrobię. - Nie czekając na jej zgodę, Peter podniósł chłopca i otoczył go ramionami w pasie. Jedną dłoń, zwinętą w pięść, umieścił mu pod mostkiem, a drugą energicznie poruszał ciałem dziecka to wprzód, to do tyłu. fiez rezultatu.

Libby poczuła, że ogarnia ją panika. Może i jest dyplomowaną pielęgniarką, ale przecież tu chodzi o jej dziecko. Z coraz większym przerażeniem obserwowała kolejne, nieudane próby. Na czole Petera pojawiły się kropelki potu.

- Kyle, wypluj to! - rozkazał, ponownie przeginając ciało dziecka.

W tym momencie kawałek kiełbasy niczym pocisk przeleciał przez pokój. Chłopiec odetchnął głąboko.

Czując, że drżą jej kolana, Libby usiadła na kanapie i odgarnęła z czoła spocone włosy. Peter nadal trzymał Kyle'a w ramionach.

- Jak się czujesz?

- Dobrze - zapewnił Kyle, nie przejawiając przy tym najmniejszej ochoty, by wydostać się z uścisku. Po dłuższej chwili wskazał miejsce na przeponie. - Mamusiu, trochę tu mnie boli, ale chyba mogę jeszcze zjeść kawałek?

Libby uśmiechnęła się słabo.

- Chyba powinieneś przejść na papki dla niemowląt.

- Ależ mammo!

- No dobrze. Tylko gryź dokładnie, zanim połkniesz.

Kyle odwrócił się do Petera, patrząc na niego z nie ukrywanym podziwem.

- Dziękuję, panie doktorze.

Peter rozgarnął dłonią włosy chłopca.

- Cała przyjemność po mojej stronie. A w ogóle to możemy przestać być tak oficjalni. Mów mi po imieniu.

Szeroki uśmiech rozjaśnił twarz Kyle'a. Libby już chciała zaprotestować, ale ugryzła się w język. Przecież ten człowiek właśnie uratował życie jej syna.

Jeszcze nie tak dawno przekonywała samą siebie, że nie przyjmie od Caldwellów żadnej pomocy, a teraz odczuwa ogromną wdzięczność za to, że Peter był na miejscu. Czyżby los chciał spłatać jej kolejnego figla?

- Dzieciaki, jeśli będziecie nas potrzebować, to jesteśmy w kuchni. - Peter ujął Libby za rękę i pociągnął ją w stronę drzwi.

- Może powinniśmy zostać? - zapytała, obawiając się spuścić Kyle'a z oczu.

Zmarszczył brwi i szepnął jej do ucha:

- Nic mu nie jest, a jeśli zaczniemy się nad nim rozczułać, zacznie się martwić.

Kiwnęła głową ze zrozumieniem.

- W razie czego jesteśmy w kuchni.

- Dobrze - odparły dzieciaki chórem, nie odrywając wzroku od telewizora. Najwyraźniej zapomnieli już o całej przygodzie.

Dopiero kiedy usiadła przy kuchennym stole, Libby poczuła, że drży na całym ciele. Peter położył jej rękę na ramieniu.

- Mówię ci, że nic mu nie jest - powtórzył.

Usta Libby wygięły się z goryczą.

- Wiem. Sama nie rozumiem, dlaczego tak się zachowuję.

- A ja rozumiem. Przecież to twój syn, jesteście bardzo związani. A poza tym masz za sobą długi dzień i jesteś zmęczona.

Dotyk jego dłoni podziałał na nią kojąco. W tej chwili nie traktowała go jak potwora sprzed lat, tylko jak kogoś, kto uratował jej dziecko.

- Pewnie masz rację.

- Na pewno mam rację. Aha, zapomniałem ci powiedzieć, że dziś po południu przysłali wyniki posiewu krwi Kathy Sanders.

- I? - spytała, podziwiając łatwość, z jaką zmienił temat.

- To infekcja bakterią koli. Ale mam też dobre nowiny. Antybiogram wskazuje, że lek, który jej podajemy, powinien być skuteczny.

- Tak się cieszę...

Przypomniała sobie dzień, gdy siedziała przy łóżku Elaine w oczekiwaniu na wynik jej zmagania z ciężkim zapaleniem płuc. Miała nadzieję, że przynajmniej Kathy zwycięży chorobę.

- Trochę to potrwa, zanim odnotujemy jakąś wyraźną poprawę, ale mogę sobie pozwolić na ostrożny optymizm.

- To cudownie.

Peter przyjrzał się jej uważnie.

- Naprawdę przejęłaś się tą kobietą.

- Nie bardziej niż wszystkimi pacjentami - odrzekła, unikając jego wzroku.

- Czy się mylę, czy przeżyłaś śmierć jakiejś bliskiej ci młodej osoby?

- Nie mylisz się - przyznała, odnosząc talerze do zlewu.

Ruszył w ślad za nią, jakby oczekiwał dalszych wyjaśnień, Libby jednak nie powiedziała nic więcej, tylko napełniła zlew gorącą wodą i dodała nieco płynu do zmywania.

- Gdzie jest ścierka? Będę wycierał.

- Dziękuję, dam sobie radę.

- Jeśli mam zabrać te ciastka do domu, to muszę przynajmniej mieć jakiś udział w sprzątaniu.

- W górnej szufladzie, na prawo ode mnie.

Przez następne kilka minut pracowali w milczeniu. W końcu Peter przerwał ciszę:

- To "była niewydolność nerek?

Libby zrozumiała, że nie da za wygraną tak długo, jak długo nie usłyszy odpowiedzi.

- Moja siostra zachorowała na pewien rodzaj zapalenia płuc, które nie poddało się leczeniu. W tym czasie żadne z naszych rodziców już nie żyło - powiedziała, kładąc na suszarce kolejną opłukaną miseczkę.

- Tak mi przykro. Kiedy to się stało?

- Mniej więcej siedem lat temu. - Nie dodała, że wkrótce potem przenieśli się z Kyle'em do Belleville.

Nie odrywając oczu od wycieranego właśnie talerza, Peter zaskoczył ją, opowiadając własną historię.

- Kilka lat temu zostałem zaproszony z żoną na przyjęcie z okazji świąt Bożego Narodzenia. Nie chciała czekać, aż skończę dyżur, więc umówiliśmy się na miejscu, w domu przyjaciół.

Starła się czynić jak najmniej hałasu i słuchała Petera z napięciem.

- Kiedy dojechałem do nich spóźniony, żony już tam nie było. Odjechała z innym mężczyzną. - To straszne, pomyślała.

- Niestety, pijany kierowca wracający z jakiegoś innego świątecznego przyjęcia potrafił ich i wpadli do rowu. Carol zginęła

na miejscu. Jak się później okazało, tego samego dnia rano wysłała swoją walizkę na lotnisko. Musiała planować ten wyjazd od dawna.

Libby zrozumiała smutek, jaki malował się w jego oczach, kiedy go po raz pierwszy ujrzała w szpitalnej windzie. Także dla niego minione lata nie były łatwe.

- Przez długi czas nie znosiłem świąt. Kolędy, przyjęcia, choinki, dosłownie wszystko przypominało mi, że Carol mnie zdradziła. Postawiłem więc nie obchodzić Bożego Narodzenia. Jeszcze przed pogrzebem usunąłem z domu wszelkie ślady świątecznych dekoracji. Sam miała wtedy cztery lata i nie zdawała sobie sprawy, że coś traci. Jakies dwa lata temu próbowałem włączyć się w świąteczny nastrój, ale okazało się to ponad moje siły. - Spojrzał w kierunku pokoju. - Nigdy nie widziałem, żeby Sam była aż tak podniecona. Ofiarowałaś jej chwale, których nigdy nie zapomni, i muszę przyznać, że jestem trochę zazdrosny. Wolałbym, żeby to ja dostarczył jej tylu wzruszeń.

- Pamiętam pierwsze święta po śmierci siostry - zaczęła Libby powoli. - Też chciałam zapomnieć o gwiazdce, udawać, że jej w ogóle nie ma. Ale dzieciom należą się święta. Zrozumiałam, że jeśli dla dobra Kyle'a nie pokonam własnych oporów, za rok wcale nie będzie mi łatwiej. A kiedy już ubraliśmy choinkę, zdałam sobie sprawę z czegoś jeszcze ważniejszego. W czasie świąt goją się rany, rodzą nadzieje i powstają nowe tradycje.

Peter przyglądał się jej z uwagą.

- Właśnie tego potrzebuję. Chcę zagoić stare rany, na nowo nauczyć cieszyć się świętami, wzbudzić w sobie radość i nadzieję. Tylko ktoś musi wskazać mi drogę. - Zawahał się. - Zdaję sobie sprawę, że nie jesteś zachwycona perspektywą wspólnych wy-cieczek...

Libby uważnie oglądała pod światło świeżo umytą salaterkę.

- Ale masz tak doskonały kontakt z Sam, że w moim odczuciu jesteś jedyną osobą, przy której mogę zapomnieć o prze-

sztłości... - Zawiesił głos. - Jeśli nie możesz poświęcić się dla mnie, to może to zrobisz dla Samantha?

Chciała zaprotestować, podać mu nazwiska co najmniej kilku kobiet, które chętnie wzięłyby go pod opiekę, lecz nie potrafiła się na to zdobyć.

Nie przypuszczała, że jakakolwiek prośba mogłaby tak bardzo nią poruszyć. W tej chwili nie miała przed sobą tamtego Caldwell, tylko mężczyznę prześladowanego przez zmyry przeszłości.

Zdawała sobie sprawę, co się może stać, jeśli Peter pozna prawdę o Kyle'u. Ale przecież była też pielęgniarką, której zadaniem jest nieść ulgę w cierpieniu. Czy może odmówić człowiekowi, który w imię dobra własnego dziecka zaryzykował, że zostanie odrzucony?

Jeśli chodzi o jej własne obawy, to skoro Peter dotychczas nie skojarzył jej z bratem, może w ogóle nie dotrze do prawdy... Mimo że Kyle nigdy nie dowie się o swym powinowactwie z Caldwellami, przynajmniej będzie miał święta z mężczyzną przypominającym mu ojca.

- Dobrze - powiedziała w końcu, mając nadzieję, że nie popełnia największego błędu życia.

- Naprawdę? Mówisz szczerze?

- Tak.

Twarz Petera rozjaśnił uśmiech szczęścia.

- Zrobię wszystko, żeby Samantha miała naprawdę udane święta - zapewniła.

ROZDZIAŁ PIĄTY

W początku następnego tygodnia kwestie świątecznych przygotowań zeszyły w życiu Libby na dalszy plan. Nie przestała myśleć o Kathy Sanders, której stan wciąż napawał ją niepokojem. Wobec braku reakcji na podawane leki Libby w końcu postanowiła podzielić się swymi wątpliwościami z Peterem.

- Ilość oddawanego moczu wcale się nie zwiększyła - poinformowała, podając mu świeży wydruk z wynikami badań. - Jest nadal niewielka, chociaż ciśnienie utrzymuje się w normie i chora przyjmuje odpowiednią ilość płynów. Wyniki czynności nerek też się poprawiły.

Peter przeanalizował dane.

- Miałem nadzieję, że poprawa nastąpi szybciej, ale nie powinniśmy się zniechęcać. Z posiewu wynika, że podajemy jej odpowiedni zestaw antybiotyków, a wyniki pozostałych badań przynajmniej się nie pogorszyły.

- Ale może coś przeoczyliśmy?

- Na przykład co?

Libby wzruszyła ramionami.

- Nie wiem. To ty jesteś lekarzem.

Peter odłożył kartę Kathy do odpowiedniej przegródki.

- Podawajcie jej nadal leki przez kroplówkę i kontynuujcie dokładny pomiar pobieranych płynów. Poza tym zwróćcie uwagę na objawy sinicy w kończynach.

Libby zanotowała w pamięci instrukcje.

- Wyjaśnij mi, co z tą sinicą?

- Jeśli chora przestaje oddawać mocz, może to oznaczać, że włóknik odkłada się w kłębkach nerkowych, czemu powinniśmy przeciwdziałać. Natomiast sinica palców może być objawem odkładania się włóknika w naczyniach, skąd prosta droga do gangreny. A wtedy...

Perspektywa amputacji jest zawsze przerażająca, a już szczególnie w przypadku kogoś tak młodego.

- Zwrócę na to baczną uwagę i przekażę twoje zalecenia następnej zmianie - zapewniła.

Peter siedział na brzegu biurka, oparłszy nogę o krzesło,

- Becky Sanders dziękowała mi za opiekę, jaką otoczono jej siostrę. Nie przypuszczała, że Kathy zostanie potraktowana z takim oddaniem.

- Cieszę się, że jest zadowolona z naszego personelu.

- O ile się nie mylę - ciągnął Peter - miała na myśli przede wszystkim ciebie.

Pochwała sprawiła Libby wyraźną przyjemność.

- Spędzam z nimi wszystkie wolne chwile. Na szczęście, moi pozostali pacjenci nie są aż tak chorzy, więc nikogo nie zaniedbuję.

Peter spojrzął jej prosto w oczy.

- Czy poradziłabyś sobie, gdyby stan Kathy się pogorszył?

Libby studiowała wyraz jego twarzy, próbując domyślić się tego, czego nie powiedział. Wnioski, jakie wyciągnęła, nie były zachęcające.

- Obawiasz się, że nie wyzdrowieje, prawda? - zapytała szeptem.

- Tak samo jak ty mam nadzieję na poprawę. Ale gdyby nastąpiło pogorszenie, potrzebna mi będzie pielęgniarka, która się nie załamie, tylko potrafi stawić czoło wyzwaniu.

- Nie załamie się.

Peter przyjrzał jej się z uwagą.

- Może powinienem poprosić Ann, żeby cię kimś zastąpiła.

- Nie - powiedziała ostrzej, niż zamierzała. - To, że sama

straciłam siostrę i wiem, co przeżywają te dziewczyny, nie oznacza, że nie potrafię dać sobie rady.

- Jesteś pewna?

- Najzupełniej.

- Mam prawie pewność, że Kathy wyzdrowieje. Jeśli nie, to na pewno nie z powodu zaniedbania. Ściśle przestrzegam zaleceń specjalisty.

- Naprawdę?

- Dziwisz się? Przecież tak samo jak ty nie chcę stracić pacjentki, zwłaszcza że jest młoda i ma przed sobą całe życie. Chcę, żebyś wiedziała, że skontaktowałem się ze znajomym nefrologiem i przesłałem mu kopie wyników Kathy. W pełni zgodził się z naszym sposobem leczenia.

Libby nie przypuszczała, że Peter potrafi prosić o pomoc czy *też przyznać, że nie jest całkowicie pewien swych racji*. Widocznie się pomyliła. Zastanowiła się, jakie jeszcze popełniła błędy w ocenie jego osoby.

- Dziękuję - powiedziała cicho.

- Tak samo zachowałbym się w przypadku każdego innego pacjenta - zapewnił. - Nie mówiłem ci chyba - dodał, Wstając z miejsca - że Sylvia zaprosiła mnie i Sam na jutro na obiad z okazji Święta Dziękczynienia.

Libby od razu poczuła się lepiej.

- Kyle będzie zachwycony. Martwił się, że zostanieie sami w domu.

Peter uśmiechnął się.

- Nie byłem pewien, czy będziemy mogli przyjść, więc nie mówiłem Sam, żeby oszczędzić jej przykrych rozczarowań. To chyba trochę głupio z mojej strony?

- Wcale nie. Tyle przykrych rzeczy zdarza się w życiu, że nie trzeba ich dodatkowo mnożyć. A kto cię zastąpi? - szybko zmieniła temat z obawy, że Peter znowu zacznie zadawać niewygodnie pytania.

- Jerry Moore.

- No to przynajmniej wiem, do kogo mam dzwonić, gdybym potrzebowała konsultacji. - Widząc zdziwienie na jego twarzy, wyjaśniła: - Mam jutro dyżur.

- To dlatego mamy się spotkać dopiero późnym popołudniem?

Libby przytaknęła.

- Sylvia zawsze dostosowuje się do mojego rozkładu zajęć. W dodatku zabiera do siebie Kyle'a, kiedy muszę zostać w pracy.

- Nie chciałbym przyjść z pustymi rękami. Jak sądzisz, co mógłbym przynieść?

- Jedzenia u Sylvii wystarczy dla całej dzielnicy.

- To może butelkę wina?

- Ralph chętnie wypije kieliszek, ale Sylvia chce uchościć za abstynentkę.

- Może wymyślę coś lepszego?

- Nie, przynieś wino. Tak naprawdę ona oburza się na alkohol tylko po to, żeby mieć jeszcze jeden powód do kłótni z Ralphem.

- Wolałbym nie powodować niepotrzebnych napięć.

- Nie masz się czego obawiać. Oni wręcz uwielbiają się kłócić. Sylvia twierdzi, że to jej podnosi ciśnienie.

- Znam lepsze sposoby na podniesienie ciśnienia... - Gdy puścił do niej oko, poczuła, że się czerwieni. - A może - dodał z namysłem - powinienem odciągnąć Ralpha na bok i parę rzeczy mu przypomnieć?

- Tylko że on ma nogę i rękę w gipsie, więc chyba nie mógłby posłuchać twojej rady - odrzekła mimo wszystko.

- Niekoniecznie. W przymusowych sytuacjach ludzie bywają naprawdę pomysłowi. Przypomnij sobie pannice zachodzące w ciążę na tylnym siedzeniu samochodu.

Pamiętając, że właśnie to przydarzyło się Elaine, szybko zmieniła temat.

- Nie uprzedzaj się do Ralpha. Pod jego szorstką skorupą

kryje się naprawdę gołębie serce. Wyobraź sobie, że w czasie mojej pierwszej zimy w Belleville mieliśmy tu okropną śnieżycę. Ralph sam przekopał ścieżkę pod nasze drzwi i przyszedł z zakupami, bo bał się, że mogło mi się skończyć mleko dla Kyle'a. - Zaśmiała się. - Mimo że ciągle narzeka, jest dla nas naprawdę bardzo dobry.

- Skoro tak mówisz...

- A jeśli chodzi o Sylvie, to uwielbia kwiaty. Jeśli pojawisz się z jakąś rośliną albo bukietem, będzie w siódmym niebie.

- Dzięki za radę - rzekł, szykując się do wyjścia. - Powiedziałem doktorowi Moore'owi o przypadku Kathy Sanders, ale gdybyś zauważyła jakąś zmianę, postaraj się ze mną skontaktować, dobrze?

- Oczywiście - obiecała.

Do końca dyżuru stosowała się do poleceń otrzymanych od Petera. Mimo że w stanie pacjentki nie nastąpiła poprawa, Libby nie przestawała tracić nadziei.

Po pracy udała się wprost do szkoły, żeby odebrać Kyle'a i Samanthę. Zdziwiła się, widząc, że tym razem Kyle nie biegnie jak zwykle w podskokach, tylko idzie powoli, wlokąc nogę za nogą.

- Źle się czuję. Boli mnie gardło - mruknął, wsiadając do samochodu.

Libby położyła mu rękę na czole. Najwyraźniej miał gorączkę.

- Czy to znaczy, że ominie go jutrzejszy obiad? - zapytała Sam, wdrapując się na tylne siedzenie.

- Trudno powiedzieć. Zobaczymy, jak się będzie czuł.

Pod drodze przekazała dziewczynkę pod opiekę pani Bridges i szybko wróciła do domu. Pomogła Kyle'owi zdjąć kurtkę i wepchnęła mu termometr pod pachę.

- Trzydzieści osiem i sześć - westchnęła. - Otwórz szeroko usta, żebym mogła zobaczyć migdałki.

Kyle posłuchał bez sprzeciwu. Gardło, pokryte czerwonymi

plamami, stanowiło znany widok. Wcześniejsze anginy nauczyły ją rozpoznawać tę chorobę bez dodatkowych badań. Chłopiec spojrział na nią niespokojnie.

- Mamo, czy to...?

- Obawiam się, że tak. - Przytuliła go mocno do siebie.

- Nie chcę zastrzyków - jęknął rozpaczliwie.

- Możemy nie mieć wyboru - oznajmiła, próbując przygotować go na taką ewentualność. - Zadzwonimy do lekarza i zobaczymy, co zadecyduje. - Uścisnęła synka jeszcze raz, podeszła do telefonu i z pamięci wykręciła numer.

- Przykro mi, ale doktor Downey jeszcze nie wrócił z urlopu, a doktor Moore właśnie odbiera poród - poinformowała ją rejestratorka. - Ale mogę przekazać zlecenie doktorowi Caldwellowi.

- Pewnie nie zechce wypisać recepty i przekazać jej do apteki? - spytała Libby, z góry wiedząc, jaką otrzyma odpowiedź.

- Raczej nie, zwłaszcza że nie miał dotąd okazji zbadać dziecka. Ale proszę zaczekać, to zapytam.

- Nie, lepiej nie - zaprotestowała, podliczając w myślach koszt wizyty. Jeszcze nie zdążyła zapłacić poprzedniego rachunku. Ale czy ma wybór? Domowe sposoby w przypadku anginy nie są skuteczne, a ryzyko powikłań, takich jak gorączka reumatyczna, zbyt duże.

- Ktoś właśnie zrezygnował z numerka na szesnastą, więc jeśli zdąży pani go przywieźć...

- Dobrze, zaraz będziemy.

Jazda przez miasto zajęła jej zaledwie kilka minut. Ku zdziwieniu Libby niemal bez czekania zostali skierowani do gabinetu.

Peter pojawił się prawie natychmiast.

- No i jak tam, synu? Marnie się czujesz?

Użycie formy „synu” nie było w tym wypadku niczym nadzwyczajnym, ale Libby zauważyła, że oczy Kyle'a od razu nabrały weselszego wyrazu.

- Boli mnie gardło - wyjaśnił. - Mama mówi, że to angina.

- Naprawdę? A pozwolisz, żebym i ja je obejrzał?

Kyle otworzył szeroko usta. Badanie zajęło Peterowi kilka sekund.

- Masz bardzo mądrą mamę. Ja też sądzę, że to angina. Zazwyczaj zalecam posiew, żeby potwierdzić diagnozę.

- To chyba nie będzie konieczne - wtrąciła Libby. Nawet bez dodatkowych badań koszt choroby chłopca i tak nadweręży jej wąły budżet.

- Tym razem obejdziemy się bez tego.

Libby spojrzała na Petera z ulgą i ukryła ręce w kieszeniach, by nie zauważył, jak nerwowo zaciska palce.

Peter położył dłoń na ramieniu dziecka.

- Najlepszy sposób, żeby pozbyć się infekcji, to zastrzyk.

Kyle spojrzał błagalnie na matkę, po czym przeniósł wzrok na Petera.

- Nie możesz mi zapisać pigułek?

- Nie sądzisz, że trudno by ci było je połknąć?

- Mama mogłaby je rozgnieść.

Peter podparł dłońią podbródek i z poważnym wyrazem twarzy zdawał się rozważać prośbę chłopca.

- No tak, ale jeśli wybierzemy ten sposób, możesz nie zdążyć wyzdrowieć na czas, żeby nam pomóc wybrać choinkę.

Kyle zmarszczył czoło.

- Sam byłoby przykro - oświadczył. - Obiecałem, że nauczę ją, na co ma zwracać uwagę.

- Mógłbyś jej powiedzieć przez telefon, ale to co innego.

Chłopiec wyprostował się i podjął decyzję.

- Dobrze, niech będzie zastrzyk.

Libby odwróciła się, by ukryć uśmiech. Taktyka Petera pozwoliła mu osiągnąć pożądany efekt bez walki.

- Tylko żeby nie bolało - poprosił Kyle.

- Zaboli tylko przez chwilę, ale wiem, że jesteś dzielny.

- Przejrzał kartę chłopca. - Dostaniesz penicylinę o przedłużonym działaniu. Czy któreś z was jest uczulone na jakieś leki?

- Nie - zapewniła Libby.

Peter dokonał odpowiedniego wpisu w karcie.

- A krwawienia z nosa się już nie powtórzyły? - zapytał.

W tej samej chwili, kiedy Libby zaprzeczyła, Kyle powiedział „tak”.

- Wczoraj leciała mi krew w szkole. Ale nie za mocno. Nawet nie musiałem iść do pielęgniarki.

- Dlaczego mi nie powiedziałaś?

- Mamo, to nie było nic takiego. Potrafię sam zadbać o siebie.

Libby i Peter wymienili rozbawione spojrzenia.

- Za chwilę przyjdzie Mavis zrobić ci zastrzyk. Kiedy wrócicie do domu, idź od razu do łóżka. I żadnych wizyt, przynajmniej przez dwadzieścia cztery godziny, dopóki nie spadnie ci gorączka.

- Ale jutro jest Święto Dziękczynienia - zaprotestował Kyle.

- No to mamy kłopot.

Libby też sprawiała wrażenie zmartwionej. Nie mogła zadzwonić do szpitala i powiedzieć, że nie przyjdzie, bo w święta i tak zatrudniano tylko zupełnie niezbędny personel. Z drugiej strony, nie mogła wysłać Kyle'a do Sylvii, tak jak wcześniej planowała. Nie może przecież narażać sąsiadki, Ralpha i Samantha na kontakt z anginą.

- Masz jutro dyżur, prawda? - zapytał Peter.

- Tak, ale będą musieli znaleźć kogoś na moje miejsce. Nie mogę zostawić Kyle'a samego.

Sama zgłosiła chęć pracy w święto, licząc na dodatkowe pieniądze. Teraz jednak musi pomyśleć o innym sposobie zdobycia funduszy na rower, który chce podarować Kyle'owi na gwiazdkę.

- Czy Kyle miał spędzić cały dzień u Sylvii?

Przytaknęła.

-H No to nie ma sprawy. Po prostu zamienimy się dziećmi.

Samantha pójdzie do Sylvii, a my we dwóch pooglądamy sobie telewizję. Jak wrócisz, wszyscy pójdziemy na przyjęcie, pod warunkiem, że Kyle nie będzie już gorączkował.

Oczy chłopca zabłyśły radośnie.

- To świetny pomysł!

Z jednej strony Libby zdawała sobie sprawę, że to rzeczywiście doskonałe rozwiązanie, z drugiej jednak wciąż obawiała się zbyt bliskich kontaktów między Peterem a synem. Co gorsza, tym razem mieli zostać sami, więc nie będzie miała żadnego wpływu na temat ich rozmów. Może powinna odrzucić ofertę? Tylko że Kyle najwyraźniej marzył o spędzeniu dnia w towarzystwie mężczyzny, którego otwarcie podziwiał, a Libby naprawdę potrzebowała gotówki.

- Jesteś pewien, że nie wolałbyś spędzić całego dnia z Sam?

- Podejrzewam, że lekcja pieczenia świątecznego indyka sprawi jej zdecydowanie większą przyjemność.

- No to załatwione.

Mimo kiepskiego samopoczucia Kyle najwyraźniej był bardzo zadowolony. O ileż przyjemniej chorować w towarzystwie Petera, niż pomagać Sylvii w kuchni!

- W takim razie do zobaczenia rano - rzekł Peter i wyszedł z gabinetu.

W oczekiwaniu na pielęgniarkę Libby próbowała sobie przypomnieć, co ma w lodówce. Nie planowała gotowania obiadu, a teraz musi szybko wymyślić coś lekkostrawnego dla Kyle'a, co powinno również smakować dorosłemu mężczyźnie. Bulion z kluskami i galaretka, postanowiła. Jeśli Peterowi nie odpowiada takie jedzenie, to odbije sobie wieczorem u Sylvii.

Po chwili drzwi się otworzyły i ku zdziwieniu Libby Peter ponownie wkroczył do gabinetu. Tym razem trzymał w dłoni dwie strzykawki. Kyle spojrzał na niego z przerażeniem.

- Obie dla mnie?

- Nie. Jedna dla ciebie, a druga dla mamy.

Libby zamarła. Dobrze wiedziała, że tego rodzaju iniekcje

zazwyczaj aplikuje się w mięsień pośladkowy. Na myśl o tym, że ma się zebrać w obecności Petera, omal nie dostała zawału. Na szczęście nie skończyła wczoraj prania, więc miała na sobie jedyną parę jedwabnych majteczek, jaką posiadała.

- A gdzie Mavis? - spytała z nadzieją, że jej głos nie zdradza zdenerwowania.

- Jest zajęta, więc ją zastąpię. Ale nie bójcie się. Wcale nie jestem gorszy niż ona - zapewnił, odsłaniając w uśmiechu piękne, białe zęby.

Libby patrzyła w napięciu, gdy Peter robił Kyle'owi zastrzyk.

- Świetnie się spisałeś. Teraz kolej mamy.

- Może wezmę pastylki? - zażartowała niemrawo.

- I zaryzykujesz nieobecność w czasie wyprawy po choinki?

- Mamusiu, to naprawdę nie boli - pocieszał ją Kyle. - Zanim się obejrzysz, będzie po wszystkim.

Libby zdjęła płaszcz i podwinęła rękaw bluzki.

- Zbyt wielu mięśni to tu nie ma. Wolałbym dogodniejsze miejsce.

Już miała zaprotestować, kiedy zauważyła, że Kyle obserwuje ją z wyraźnym zainteresowaniem. Dalsze stawianie oporu mogło jedynie wzmocnić jego ciekawość.

- Może wolisz zrobić to sama? - zapytał Peter, wyciągając ku niej strzykawkę.

- Nie, dziękuję. Zrób to ty.

Lekko opuściła spodnie, odsłaniając biodro. Gdy się pochylił, poczuła ciepło bijące z jego ciała i ten charakterystyczny zapach wody kolońskiej. Drgnęła, gdy przetarł jej skórę spirytusem. Kyle zachichotał rozbawiony.

- Jeszcze niczego nie zrobiłem. Odpręż się.

Ciekawe jak? Gdyby zamiast Petera stał za nią sześćdziesięcioletni doktor Downey, z pewnością nie byłoby to trudne. W końcu poczuła ukłucie.

- Już po wszystkim - oznajmił Peter i wyrzucił strzykawkę.
- Do zobaczenia jutro - pożegnał się i wyszedł.
- Widzisz mamo, wcale nie bolało.
- Rzeczywiście-

Skarciła się w duchu za głupie myśli. W końcu Peter wykonał zastrzyk dokładnie tak, jakby miał przed sobą osiemdziesięcioletnią pacjentkę. Nawet mu ręka nie zadrżała. Jakim cudem przyszło jej do głowy, że może mu chodzić o coś innego? Szybko się ubrała.

- Jedziemy do domu - powiedziała, biorąc Kyle'a za rękę.

Peter wyszedł szybko z gabinetu. Co za szczęście, że Libby jest pacjentką Downeya. Nigdy nie przypuszczał, że widok paru centymetrów kwadratowych jej odsłoniętej skóry tak na niego podziała. A w dodatku ta jedwabna bielizna, lekka woń kwiatów i zapach świeżo umytych włosów. Co by się stało, gdyby ją ujrzał w pełnym negliżu? Na samą myśl o tym uśmiechnął się do siebie.

Jak na ironię losu wyraźnie pociąga go kobieta, która nie przejawia najmniejszego zainteresowania jego osobą. Chociaż... była chyba nieco zażenowana tym zastrzykiem. Pielęgniarki, a szczególnie te, które już rodziły, zazwyczaj nie reagują w ten sposób. Może jednak nie jest jej do końca obojętny?

Najbliższe dni powinny przynieść odpowiedź. Zamierzał sprawdzić, czy rzeczywiście nic dla niej nie znaczy, czy też jej zachowanie wynika jedynie z przykrych doświadczeń. Po raz pierwszy od czasu, kiedy zostawiła go żona, poczuł radość z powodu nadchodzących świąt.

Wracając do domu następnego popołudnia, Libby zdziwiła się, że zasłony w oknach są nadal zasunięte. Wewnątrz powitała ją kompletna cisza. Otwierała kolejne drzwi, lecz pokoje były puste. Dopiero gdy weszła do własnej sypialni, jej oczom ukazał się niecodzienny widok. Na łóżku, przykrytym różową narzutą

w kwiecisty deseń, leżały dwie uśpione postacie. Na brzuchu Petera spoczywała otwarta książeczka o życiu dinozaurów.

Libby oparła się o framugę. Kyle uwielbia wylegiwać się w jej łóżku, gdy jest chory. Chyba namówił Petera, żeby poczytał mu tu książkę, i w końcu obu zmorzył sen.

Rumieńce na twarzy syna powiedziały jej, że gorączka jeszcze nie spadła. Niestety, nie wydobrzała na tyle, żeby móc iść na przyjęcie. Spojrzała na Petera. W nocy odbierał wyjątkowo trudny poród, więc musiał być zmęczony. Drzemka na pewno dobrze mu zrobi. Libby też miała za sobą ciężką noc. Wstawała kilkakrotnie, zmieniając chłodne okłady na rozpalonej głowie Kyle'a, by przynajmniej jemu zapewnić spokojny sen. Pomyślała, że sama chętnie by się teraz położyła.

Kyle przewrócił się na bok, strącając przy tym książkę na podłogę. Na dźwięk spadającego przedmiotu Peter poruszył się niespokojnie. Libby przyglądała się mu z uwagą. Widok budzącego się mężczyzny zrobił na niej takie wrażenie, że nie mogła ruszyć się z miejsca.

Peter otworzył oczy i widząc ją przed sobą, przyjaźnie pomachał dłonią na powitanie. Ostrożnie wstał z łóżka, żeby przypadkiem nie obudzić dziecka, i udał się w ślad za Libby do kuchni.

- Przepraszam, że zasnąłem - powiedział, przecierając oczy - Chyba byłem bardziej zmęczony, niż sądziłem.

- Nie obawiaj się, nie zwolnię cię za spanie w czasie pracy.

- Kamień spadł mi z serca - westchnął z ulgą, siadając na krześle.

- Co z Kyle'm?

- Nadal trochę gorączkuje.

- Tego się obawiałam. Niestety, nie będziemy wam towarzyszyć na przyjęciu.

- Przyniesiemy wam coś - obiecał.

Libby wsparła się rękoma o stół.

- Nie mieliście żadnych problemów?

- Absolutnie. Kyle jest wspaniałym dzieckiem. Możesz być z niego dumna.

- Jestem.

- Jest niezwykle przejęty perspektywą wybierania choinek dla nas wszystkich. Obawiam się, że spędzimy cały dzień, błądząc po plantacji w poszukiwaniu doskonałego drzewka.

- Tylko pamiętajcie, żeby się ciepło ubrać.

Peter spojrzął na zegarek.

- Muszę już iść, żeby przynajmniej wziąć prysznic przed wyjściem. Przecież nie mogę się pojawić u Sylvii, wyglądając jak ostatni włóczęga.

Libby pomyślała, że gdyby wszyscy włóczędzy wyglądali tak jak on, świat byłby piękny. Z trudem powstrzymała się, by nie dotknąć jego ramion.

- A co w szpitalu? - spytał znienacka.

- W szpitalu? - Libby ocknęła się z zamyślenia. - Nie-wiele się działo, co stanowiło miłą odmianę. Kathy Sanders wyglądała dziś dużo lepiej. Nawet poprosiła, żeby jej umyć włosy.

- U kobiet to niezawodny objaw powrotu do zdrowia.

- Pewnie masz rację - roześmiała się. - W każdym razie jej wyniki też były dziś lepsze. Poziom fibrynogenu i płytek krwi wyraźnie się zwiększył.

- Wiem. Dzwoniłem rano do laboratorium.

- Naprawdę?

Uśmiechnął się niby to przepraszająco.

- Nie mogłem znieść napięcia. - Znowu spojrzął na zegarek.

- No, muszę już lecieć, jeśli mam zdążyć po Ralpha i stawić się u Sylvii o wpół do szóstej.

O dziwo, Libby wcale nie miała ochoty rozstawać się z nim.

- No to się pośpiesz! Ona nie lubi, jak się goście spóźniają - dodała i odprowadziła go do drzwi. - Dzięki za opiekę nad Kyle'em.

- Nie było tak źle - odpowiedział, zapinając kurtkę. - Szko-

da, że nie możecie iść z nami Bardzo chciałem, żebyśmy mogli spędzić ten wieczór razem

Libby nie wierzyła własnym uszom

- Ja też - odrzekła bez zastanowienia

Peter uważnie obserwował jej twarz, jakby chciał policzyć piegi na jej nosie

- Kiedy Kyle wyzdrowieje, to może nadrobimy tę stratę

- zaproponował z serdecznym uśmiechem

- Może

- Zarezerwuj sobie niedzielę

- Popołudnie czy wieczór?

- Miałem na myśli cały dzień - wyjaśnił z niebezpiecznym błyskiem w oczach

ROZDZIAŁ SZÓSTY

W niedzielę Kyle był już całkiem zdrow. Emocje związane z wyprawą na plantację pozwoliły mu całkiem pogodnie przetrwać kilka dni spędzonych w łóżku.

- Ale byłoby super, gdybyśmy mogli jeździć tam co roku - powiedział, wciągając zimowe buty.

- Przecież bywamy tam każdej zimy - zauważyła Libby, uradowana entuzjazmem dziecka.

- Ale żebyśmy mogli co roku zabierać Sam i jej tatę.

- Na razie skupmy się na nadchodzących świętach. Dopiero potem będziemy planować następne. - Libby nie chciała kusić losu, wybiegając za daleko w przyszłość. - Przez ten rok wiele się może zdarzyć.

Wyciągnęła z szafy dwie wysłużone, starannie załatanе kurtki. Obie okres świetności już dawno miały za sobą, lecz Libby trzymała je właśnie na takie okazje jak dzisiejsza. Po co brudzić lepsze ubrania żywicą i wycierać je o ostre sosnowe igły?

- Może kiedyś będziemy mieć jedno wspólne duże drzewko z Sam, zamiast dwóch mniejszych? - marzył Kyle.

Libby podała synkowi rękawiczki. Jego głosik brzmiał zdecydowanie zbyt niewinnie. Owszem, mogą się przyjaźnić z Peterem i Samanthą, ale znajomość ta nie może nigdy przekroczyć ram sąsiedzkich kontaktów.

- Jeśli nie masz ochoty na własną choinkę - powiedziała, udając, że nie zrozumiała aluzji - to wybierzemy tylko jedną dla...

- Wspólne, to znaczy, że będziemy wszyscy czworo w jed-

nym domu - powiedział z oczami błyszczącymi jeszcze bardziej niż zwykle. - Moglibyśmy wtedy zawiesić skarpety na prawdziwym kominku. Tylko że Sam mówi, że trzeba dokupić jedną dla jej taty, bo będzie nieładnie, jak powiesimy tylko swoje.

Libby poczuła nagle, że szalik ją uwiera, a kurtka jest stanowczo za ciepła.

- Więc już omawialiście ten temat z Samanthą, tak?
- Oczywiście, mamusi. Wszystko zaplanowaliśmy.

Owinął szyję wełnianym ocieplaczem, zasunął suwak kurtki i naciągnął czapkę na uszy.

Libby starała się utrzymać żartobliwy ton.

- A co właściwie zaplanowaliście?
- Ja się z nią ożenię. Czy to nie świetny pomysł?

Być może, gdyby chodziło o inną koleżankę; jednak jeśli chodzi o córkę Petera Caldwella, taka możliwość w ogóle nie wchodzi w grę. Co gorsza, Libby nie mogła wyjaśnić Kyle'owi dlaczego. Próbowwała wymyślić jakiś niewinny powód, ale nic jej nie przychodziło do głowy.

- Może i tak, ale na razie jesteśmy tylko przyjaciółmi - rzekła w końcu, próbując zapomnieć, jak wielkie wrażenie robił na niej Peter, ilekroć go spotkała.

- Małżeństwa zawsze na początku są tylko przyjaciółmi. Sama mówiłaś, że miłość rozwija się z upływem czasu.

Kyle najwyraźniej uważnie słuchał lekcji, jakiej mu niegdyś udzieliła.

- Tak czasem bywa, ale nie zawsze.

Dzwonek przy wejściu na szczęście uwolnił ją od konieczności udzielania dalszych wyjaśnień.

- Już przyjechali. - Kyle zeskoczył ze stołka i rzucił się ku drzwiom, by powitać gości.

Peter i Samanthą stali na werandzie, ubrani bardzo ciepło.

- Gotowi?
- No pewnie! - Chłopiec wybiegł na dwór.

- Mogę jechać pierwsza - zaproponowała Libby, wciągając parę roboczych rękawic.

- Nie ma potrzeby. Choinka i tak nie zmieściłaby się do mojej hondy, więc pożyczylem od Eldona półciężarówkę. Możemy jechać wszyscy razem.

- To świetnie. - Zamknęła drzwi i schowała klucze do kieszeni. Podniosła z ziemi torbę, w której trzymała termos gorącego jabłkowego kompotu z dodatkiem cynamonu i cztery kubeczki, i podążyła za Peterem.

Otworzyła szeroko oczy na widok nowego modelu chevrolleta zaparkowanego przed wejściem, błyszczącego tak, jakby przed chwilą wyjechał z salonu.

- Niezły wóz, prawda? - zauważył Peter z nie ukrywanym podziwem.

- Piękny - uznała, schodząc po schodach.

- Uważaj, jest ślisko!

Chwycił ją za ramię. Rzeczywiście, betonową powierzchnię pokrywała cienka warstwa lodu.

- Dzięki. - Sama nie wiedziała, czy drży z zimna, czy też z powodu jego uścisku. Puścił ją dopiero, gdy znaleźli się na dole.

- Wszyscy na pokład! - zakomenderował, zajmując miejsce za kierownicą.

- Mogę siedzieć przy oknie? - spytał Kyle.

Libby szybko oceniła wzrokiem wnętrze. Mimo że było przestronne i bez trudu mogło pomieścić czwórkę pasażerów w jednym rzędzie, oparła się pokusie zajęcia miejsca obok Petera.

- Lepiej nie, wolałabym, żebyś nie wypadł.

Kyle spojrział na nią błagalnym wzrokiem.

- Mamo, zapnę pasy.

- Drzwi blokują się automatycznie przy każdym uruchomieniu silnika. Może szarpać za klamkę, a i tak się nie otworzą - uspokoił ją Peter.

- No dobrze - poddała się.

- A ja będę siedzieć obok Kyle'a - oznajmiła Sam głosem nie znoszącym sprzeciwu.

Libby nie pozostało nic innego, jak usiąść przy kierowcy. Spojrzała na dzieci. Ich niewinne minki świadczyły o tym, że koniecznie chciały stworzyć obraz rodziny, o jakiej oboje marzyli. Postanowiła porozmawiać na ten temat z Kyle'em.

- No to co, jedziemy?

Zajęła miejsce obok Petera, starając się zachować przyzwoity dystans. W nogach ustawiła termos. Mimo że Sam siedziała przytulona do niej, Kyle nadal protestował.

- Posuń się, mam. Mam za mało miejsca.

Gdy w końcu wszyscy się jako tako rozlokowali, Libby została praktycznie przylepiona do boku Petera. Mimo grubego ubrania wyraźnie czuła jego mięśnie, twardy zarys biodra i nogi. Krew coraz szybciej pulsowała jej w skroniach.

- Przepraszam - wykrztusiła.

- No, jest trochę ciasno, ale nie narzekam.

- Potrzebne ci są wskazówki?

Spojrzał na nią wyzywająco, zupełnie jakby jakoś opacznie zrozumiał jej słowa.

- Jak jechać na plantację - jęknęła.

Szeroki uśmiech rozjaśnił mu twarz. Włączył silnik i wycofał samochód na ulicę.

- Ach tak, na plantację. Eldon mówił, że powinniśmy wyjechać na autostradę numer 283 i jechać prosto przez około pół godziny.

- To będzie po lewej stronie.

Jechali ośnieżonymi ulicami, powoli zbliżając się do zjazdu na autostradę.

- Mam do ciebie prośbę - powiedział cicho, starając się nie zwracać uwagi dzieci. - Tylko nie krępuj się odmówić, jeśli nie będziesz chciała. Może nie powinienem mówić ci o tym dopiero teraz, ale niezależnie od tego, jaką choinkę wybierzemy, Sam chce, żebyś pomogła nam ją ubrać. Uważa, że bez twojego

udziału to nie będzie choinka jej marzeń. Ale jeśli nie masz czasu, po prostu powiedz, a wymyślę jakąś wymówkę.

- A co ty o tym myślisz?

- Bardzo bym się ucieszył, gdybyś nam pomogła. Chciałbym jej jakoś wynagrodzić te stracone lata. Poza tym - dodał z "uśmiechem" - nie mam za grosz zdolności plastycznych.

- Sądząc po urządzeniu waszego domu, tego bym nie powiedziała.

- To zasługa dekoratora wewnątrz. Więc...

Błagalny ton Petera poruszył ją do głębi. Jak może odmówić, kiedy chodzi o dziecko?

- Będę zaszczycona.

- Mówisz serio? - Spojrzał na nią niepewnie.

- Oczywiście. Inaczej bym się przecież nie zgodziła.

- Patrz, mamó. Jesteśmy na miejscu.

- Ależ ten czas leci! - zauważył Peter z żalem w głosie. Libby gotowa była się zgodzić, że ich wspólna podróż powinna trwać dłużej. Pocieszała się myślą, że czeka ich jeszcze jazda z powrotem.

Zostawili samochód na wysypanym żwirem parkingu i weszli do blaszanego budynku pełnego ludzi, którzy również przybyli tu po choinki. Z drzwi, półek i parapetów zwisały warkocze ostrokrzewu. Libby wyobraziła sobie podobne girlandy wokół balustrady schodów w domu Petera. Dla podkreślenia świątecznego nastroju trzeba by jeszcze dodać czerwone kokardki. Na moment ogarnęła ją zazdrość, lecz szybko odsunęła od siebie przykre myśli. Lepiej nie marzyć o tym, co niemożliwe.

Przeciskając się przez niewielki tłumek, zauważyła, że na widok przystrojonych choinek najróżniejszej wielkości i kształtu oczy Samantha robią się okrągłe. Dziewczynka zatrzymała się przed metrowej wysokości drzewkiem, ozdobionym w tekturowe figurki z filmów Disneya.

- Tatusiu, popatrz na tę!

Peter zbliżył się do dziecka.

- Naprawdę ci się podoba? - Sara spojrzała na matkę Kyle'a, jakby oczekiwała jej wsparcia.

- Postacie z kreskówek rzeczywiście ślicznie wyglądają na choince - rzekła Libby, zastanawiając się w duchu, ile to cudo może kosztować. - Ale może się najpierw rozejrzemy. Kyle i ja nigdy nie możemy się zdecydować i w końcu sami robimy ozdoby.

Sam podniosła na nią szeroko otwarte oczy.

- Naprawdę?

- Tak. Nawlekamy popcorn na sznurki, wycinamy płatki śniegu i gwiazdki z papieru, i robimy całe mnóstwo innych rzeczy. Ale najpierw musimy znaleźć piękną choinkę.

Poprowadziła Sam na dwór. Wendell Holley, właściciel plantacji, ubrany w błękitny roboczy strój, podał Peterowi mapkę terenu i siekiere.

- Byli tu państwo już kiedyś? - zapytał.

- Tak, ale... - Libby nie zdążyła dokończyć zdania.

- No to znają państwo rozkład. W tym roku do ścięcia są drzewka w sektorach B i C. Tylko proszę się trzymać z daleka od jeziora, bojeszcze nie do końca zamarzło. Ogrodziłem brzeg linami, ale dzieci czasami nie zwracają na to uwagi. Życzę miłego dnia - powiedział, odwracając się do następnego klienta.

Spacerowali w promieniach wczesnego, popołudniowego słońca. Po krótkiej naradzie przy ognisku postanowili, że najpierw odwiedzą sektor C. Nagle Libby poczuła rodzinną atmosferę, do której tak bardzo tęskniła. Rzeczywiście, łatwo można było ich wziąć za kochającą się rodzinę. Choć obecność Kyle'a pozwalała jej zapomnieć o samotności, w głębi duszy pragnęła tego samego co syn.

Ćwierkając jak wróbelki, Kyle i Sam ruszyli przed siebie.

- Nie oddalajcie się zbyt - ostrzegła ich.

- Dobrze - odparli chórem.

Peter odetchnął głęboko, jego twarz rozjaśnił uśmiech.

- Ałe wspaniały zapach, prawda?

Ten sielankowy nastrój przerwały wesołe okrzyki dzieci.

- Pewnie już coś znalazły - domyśliła się Libby.

- Nigdy nie sądziłem, że uwiną się tak szybko. Myślałem, że spędzimy tu z pół dnia.

- Nie martw się, wszystko przed nami. Jeszcze się nie zdarzyło, żeby Kyle od razu trafił na idealne drzewko.

Podążyli śladem dzieci.

- Czy to na pewno ta? - spytała Libby, zwracając uwagę na igły spadające ze wskazanej sosny. - To drzewko chyba jest chore - dodała.

- Chyba masz rację, szukamy dalej - odparł Kyle.

Dorośli wymienili uśmiechy. Po godzinie chłopiec w końcu wybrał choinkę.

- Przy wycinaniu zostaw parę gałązek, to za kilka lat wyrośnie tu następne drzewko.

- Jasne - odrzekł Peter, rozbawiony poważnym tonem chłopca. - I co teraz? - spytał, strzepując śnieg z kolan.

- Zabierzmy ją do samochodu.

Peter chwycił za pień i udał, że ciągnie drzewko.

- Chyba sam nie dam rady - jęknął.

Uszczęśliwione dzieci energicznie rzuciły mu się z pomocą. Po chwili sosenka leżała na skrzyni chevroleta, a dzieci biegły szukać następnej choinki w części B. Ich głosy odbijały się echem po ośnieżonej plantacji.

- Może zrobimy małą przerwę? - zaproponował Peter.

Libby wskazała na ławę ze zwalonych pni, ułożoną nieopodal, pod drzewami orzecha włoskiego, które wyznaczały kraniec plantacji.

- Chodźmy tam.

Śnieg skrzypiał im pod butami. Po chwili wszyscy czworo rozkoszowali się gorącym napojem.

- Właśnie tego było mi trzeba - rzekł Peter.

- Robisz najlepszy kompot na świecie - pochwaliła Sam.

- Znalazłaś już swoje drzewko?

Dziewczynka zmarszczyła nos.

- Jeszcze nie. Za duży wybór. Tatusiu, a co się stanie z choinkami, których nikt nie weźmie do domu?

- Pewnie zostaną na przyszły rok.

- A te z krzywymi pniami i brzydkimi gałązkami?

Nie wiedząc, co powiedzieć, Peter spojrzał bezradnie na Libby.

- Pan Holley pewnie część z nich zostawia, żeby ptaki założyły sobie w nich gniazda, a resztę ścina i sadi nowe drzewka. Dlaczego pytasz?

Sam podskoczyła radośnie i podała Libby kubek.

- No to chyba już wiem, o którą mi chodzi.

- Jak tylko wypiję, pójdziemy ją ścinać.

- Świetnie. Chodź, Kyle.

- Tylko nie znikajcie nam z oczu - przypomniała Libby. Nagły powiew wiatru spowodował, że zadrżała z zimna.

- Zmarzłaś?

- Troszeczkę.

Peter wskazał na pień obok siebie.

- To miejsce nie jest zajęte.

Rzeczywiście było jej chłodno, więc wbrew sobie usiadła przy nim. Natychmiast ją objął.

- Teraz lepiej?

Nie mogła wykrztusić słowa, więc tylko kiwnęła głową.

- Zapomniałem ci powiedzieć o Sylvii i Ralphie. Ani razu się nie pokłócili, kiedy u niej byłem.

Spojrzała na niego z niedowierzaniem.

- Chyba żartujesz?

- Wcale nie. Zresztą, sama ją o to zapytaj. Możliwe, że butelka białego wina dla Ralpha i gwiazda betlejemka dla gospodyni rozładowały napięcie.

- Zachowałeś się niezwykle dyplomatycznie - pochwaliła go, nie spuszczać oczu z dzieci bawiących się nieopodal. -

Mimo to trudno uwierzyć, że nie doszło do kłótni. To do nich niepodobne. Może Ralph jest chory?

- A może jest spragniony miłości?

- No wiesz!

- Mówię serio. Za każdym razem, kiedy tylko Sylwia znalazła się obok Ralpha, najwyraźniej nie mogła się powstrzymać, żeby go przynajmniej nie musnąć. A jemu to zupełnie nie przeszkadzało. A nawet wydaje mi się, że był zadowolony.

- Co ty mówisz?!

- Raz wszedłem do kuchni i omal ich nie przyłapałem, jak się całowali.

Czyżby niesnaski, które od lat cechowały tę znajomość, okazały się objawem czegoś wręcz odwrotnego? Libby nie mogła sobie tego wyobrazić. Chociaż...

- Nie żartujesz?

- Nigdy nie stroję sobie żartów z poważnych spraw - powiedział, przykładając dłoń do jej policzka. Zawahał się, jakby oczekiwał zachęty.

Libby wpadła w popłoch i całą uwagę skupiła na jego ustach, od których dzieliły ją już tylko centymetry. Delikatnie wziął jej twarz w dłonie i pochylił się lekko. Nie miała najmniejszych wątpliwości, co Peter zamierza teraz zrobić. Czując się jak ktoś, kto próbuje zakazanego owocu, musnęła wargami jego policzek. Namiętność wzięła górę nad lękiem i Libby bezwolnie uległa czarowi chwili.

W ustach czuła smak jabłek i cynamonu. Rześkie powietrze wyostrzyło jej zmysły. Od dziś zawsze będzie wspominać tę chwilę, ilekroć znajdzie się na dworze w mroźne popołudnie. A gdyby to była wiosna albo lato? Gdyby nie przeszkadzały im grube ubrania?

Wiatr zaszeleścił między suchymi gałęziami, kilka płatków śniegu znowu wylądowało na nosie Libby, wrywając ją z odętwienia.

Peter wyprostował się.

- Dalej ci zimno?
- Już nie - wyszeptała.

Na widok jego radosnej twarzy serce zabiło jej mocniej.

- To dobrze - odpowiedział szeptem. - Widać wybraliśmy dobry sposób.
- Chyba tak.

Ciszę przerwały nagłe przeraźliwe krzyki. Libby wyprostowała się, próbując odszukać wzrokiem dzieci, lecz nigdzie ich nie dostrzegła.

- Boże, gdzie oni są?!

Zerwała się na równe nogi. W tym samym momencie zza drzew wybiegł Kyle, pędząc jak szalony. Sam z trudem dotrzymywała mu kroku.

- Mamo! Peter! Ktoś wpadł do jeziora.
- Ruszyli naprzeciw dzieciom.
- Gdzie? - Peter chwycił chłopca za ramię.
- Tam, za tymi drzewami.

Pobiegli we wskazanym kierunku, nie zwracając uwagi na to, że ostre gałęzie drą im ubrania i ranią dłonie. Po chwili znaleźli się nad brzegiem jeziora, przed którym ostrzegał ich Holley.

Mały chłopiec leżał na łodzie dość daleko od brzegu, próbując wyciągnąć psa do połowy zanurzonego w wodzie. Co chwila jego ciałem wstrząsał spazm rozpacz.

O Boże! - pomyślała Libby. Dziecko nie było wiele starsze od Kyle'a.

- Trzymaj się, synu! Już idę! - zawołał Peter.
- Nie da pan rady. Łódź się załamuje - odkrzyknął chłopiec.
- Spróbuj czołgać się do tyłu!
- Mój pies tonie. Nie mogę go zostawić.

Peter odwrócił się do Kyle'a.

- Biegnij do biura. Niech wezwą pogotowie - polecił, po czym wskazał na linię odgradzającą brzeg jeziora. - Muszę się czymś przewiązać.

Libby natychmiast zrozumiała, co ma robić. Sznur stwardniał na mrozie i węzeł nie dawał się rozwiązać, lecz nie dała za wygraną. Za sobą słyszała głos Petera, który usiłował uspokoić chłopca. W końcu udało jej się uwolnić koniec liny i błyskawicznie podała ją Peterowi.

- Nie odwiązuj drugiego końca - powiedział, otaczając się liną w pasie.

Libby dała mu znak, że rozumie. Gdyby lód się załamał, będą mogli użyć umocowanej do pala liny, żeby go wydostać.

Peter powoli zaczął się czołgać w kierunku dziecka. Odległość między nimi malała.

- Niech się pan nie zbliża! - zawołał chłopiec histerycznie.
- Słyszę, jak lód pęka.

Peter cofnął się na brzeg.

- Nawet gdyby puścił psa, i tak nie będzie chyba w stanie się przyczołgać - rzekł Peter zrozpaczony.

- Może ja spróbuję? - odezwała się Libby. - Przecież nie możemy tu czekać, nic nie robiąc. Kto wie, ile czasu minie, zanim nadejdzie pomoc.

W końcu zgodził się przepasać ją liną.

- Nie posuwaj się dalej, niż to absolutnie konieczne. I czołgaj się bardzo powoli.

- Dobrze.

Libby położyła się na lodzie i powoli zaczęła się przesuwac. Z odległości paru metrów słyszała, jak chłopiec szczeka zębami.

- Jak masz na imię? - spytała.

- Bil...Bil...Billy.

- Gdzie mieszkasz?

- Tu, na farmie.

- Jak tam pies?

- Jest mu strasznie zimno.

- Nie martw się - powiedziała, zbliżając się do szczeliny.

- Zaraz was wyciągniemy i wrócicie do domu.

Trzask pękającego lodu przeszył ciszę i Libby zobaczyła kolej-

na, wypełniająca się wodą rysę niespełna metr od siebie. Czas uciekał.

Minęło jeszcze kilka sekund i w końcu zdołała chwycić chłopca za stopę.

- Jak cię będę trzymała za nogi, dasz radę utrzymać psa?

- Chyba tak.

- No to ruszamy. - Zacisnęła dłonie na nogach dziecka i odwróciwszy głowę do tyłu, krzyknęła: - Gotowe!

Poczuła, jak Una zaciska się mocno jej wokół pasa i powoli ruszyli w drogę powrotną. Już po kilku sekundach dłonie miała kompletnie zdrętwiałe. Mogła się tylko domyślać, w jakim stanie jest dziecko, w dodatku przemoczone. Czuła, jak lodowate zimno przenika jej ciało. Centymetr po centymetrze spod skutecznej mrozem tafli wyłaniało się bezwładne, przemarznięte zwierzę. Sądząc po wielkości, był to golden retriever.

Odetchnęła z ulgą. Powinno się udać. Właśnie w tej chwili poczuła, że ze stóp chłopca zsuwają się buty.

- Poczekaj! - krzyknęła w stronę Petera, mocniej ściskając nogi chłopca. - Jak się czujesz, Billy?

- Zimno mi.

Żeby tylko się za bardzo nie wyziębił, pomyślała z troską. Gdy w końcu znaleźli się na mocnym lodzie, Peter pomógł jej doholować chłopca do brzegu. Z daleka usłyszeli sygnał karetki pogotowia i głosy nadbiegających ludzi.

- Nic się nie martw, bohaterze. Zajmiemy się twoim pieskiem - powiedział Peter i ułożył zwierzę na wyciągniętych ramionach Libby.

- Nazywa się Ranger.

- Powtórzę to weterynarzowi - zapewniła, patrząc, jak Peter chwyta chłopca na ręce i przenosi w bezpieczniejsze miejsce.

Ktoś inny pomógł jej wstać i zarzucił koc na ramiona. Ranger został zawinięty w gruby ręcznik i oddany pod opiekę mężczyzny, który miał się nim zająć. Choć Libby nie potrafiła powiedzieć, w jakim stanie jest pies, wiedziała, że żyje.

- Nic się pani nie stało? - zapytał Holley z trwogą w głosie.
- Nie.

Spojrzała na Petera, który właśnie zdejmował z chłopca mokrą kurtkę. Koś podał jej kubek gorącej kawy. Z rozkoszą otoczyła go zeszywniałymi palcami. Karetka była już na miejscu, więc jej pomoc okazała się zbędna.

- Jak on się czuje? - zapytała, spoglądając z niepokojem na zbielałe dłonie i nadgarstki chłopca. Dygotał z zimna i szczął zębami, co akurat w tym przypadku było pozytywnym objawem. Na szczęście nie stracił przytomności.

- Mogło być gorzej. Obawiam się trochę o jego ręce. Trzeba będzie zastosować ciepłe kąpiele, żeby je rozgrzać. Całe szczęście, że nie trwało to zbyt długo - wyjaśnił Peter. Ostrzegł sanitariuszy, by pod żadnym pozorem nie próbowali rozcierać dłoni dziecka, gdyż może to jedynie pogorszyć sytuację. - Czy ktoś zawiadomił jego rodziców? - zapytał.

- Już tu jadą - odpowiedział Holley.

- Zabierzemy cię, Billy, do szpitala. Przez jakiś czas nie będziesz czuł rąk, a potem mogą zacząć cię piec. Dostaniesz leki przeciwbólowe.

Chłopiec pokiwał głową ze zrozumieniem.

- A co z psem?

- Pojechał do weterynarza.

- Nic mu nie będzie?

- Mam nadzieję, że nie. - Peter polecił sanitariuszom przenieść dziecko do karetki, po czym obejrzał dłonie Libby. Najwyraźniej nie dostrzegł niczego niepokojącego, bo zapytał:

- Odwieszysz dzieci do domu? Ja chciałbym pojechać z Billym do szpitala.

- Oczywiście.

- Proszę się nie martwić, panie doktorze - powiedział Holley.

- Dopilnujemy, żeby pana rodzina dotarła bezpiecznie do domu.

Peter pocałował ją mocno i pośpieszył w kierunku karetki. Kyle trzymał Samanthę za rękę.

- Mamusiu, nic ci się nie stało?

- Na szczęście nie - odparła, przytulając dzieci do siebie.

- Ale dlaczego ten chłopiec wybiegł na środek jeziora? - zapytała Sam.

- Bo jego piesek pobiegł tam pierwszy, a że to szczeniak, nie reagował na wezwania. Łód się pod nim załamał i Billy go ratował - wyjaśniła. - Akurat byliście blisko i usłyszeliście jego krzyk.

- Czy to znaczy, że uratowaliśmy mu życie? - zapytała Sam.

- Tak sądzę.

Dzieci wymieniły dumne spojrzenia, uśmiechnęły się szeroko i klepnęły otwartymi dłońmi w geście zwycięstwa. Nagle Sam uprzytomniła sobie, że nie widzi ojca.

- Pojechał z Billym do szpitala - wyjaśniła Libby.

- Ojej! - Twarz Sam nagle posmutniała. - Nie mamy jeszcze naszej choinki.

- Innym razem, kochanie.

- Ale ja już wybrałam. Jak nie weźmiemy jej dzisiaj, jutro może jej nie być.

Choć była wycieńczona i przemarznięta, Libby nie chciała robić dziecku przykrości. Jęknęła w duchu na myśl, że przyjdzie jej teraz szukać porzuconej siekiery i termosu. Na szczęście pojawił się Holley.

- A cóż to za smutna mina? - zapytał, patrząc na dziewczynkę.

- Musimy już jechać - wyjaśniła Sam z ustami wygiętymi w podkówkę - a tata nie zdążył ściąć choinki.

- Pójdziemy po nią, tylko muszę wrócić po siekiere. Zostawiliśmy ją pod orzechami - powiedziała Libby.

- O nic się nie martwcie. Wyślę tam kogoś. - Holley wydał odpowiednie polecenie. - A którą choinkę sobie upatrzyłaś, dziecinko?

Sam wskazała dłonią drzewko.

- To ta.

Holley długo przyglądał się drzewku. Miało złamany czubek i wyglądało, jakby stoczyło długotrwałą walkę z wiatrem.

- Jesteś pewna?

Sam energicznie pokiwała głową. Właściciel spojrzął na Libby, lecz ta tylko wzruszyła ramionami.

- Chcę właśnie to, bo nikt inny go nie kupi - wyjaśniła dziewczynka.

Wyraźnie zdziwiony Holley ściął drzewko i nawet nie chciał słyszeć o zapłacie.

- Tak się cieszę, że uratowaliście tego chłopca. On często tu bywa. Nie mogę sobie wyobrazić, że mógłbym go więcej nie zobaczyć.

Gdy wsiedli do samochodu i przejechali kilka kilometrów, Kyle i Sam zapadli w głęboki sen.

Wróciwszy do domu, Libby umieściła oba drzewka w wiadrach z wodą. Gdy miała wejść do środka, zobaczyła Petera parkującego samochód przed furką. Na jej widok wysiadł i przebiegł przez ośnieżony trawnik. Libby poczuła, że mija jej zmęczenie. Peter rozłożył szeroko ramiona i mocno przytulił ją do siebie.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Peter wiedział, że Libby bezpiecznie dotarła do domu, pomyślał jednak, że nie zazna spokoju, zanim jej znów nie zobaczy. Teraz wdychał znajomy zapach jej włosów, przez który przebijała jeszcze woń sosnowego powietrza.

- Wszyscy nas widzą - zauważyła Libby.
- I co z tego?

Nie opuścił ramion. Bez trudu wyobraził sobie reakcje sąsiadów, a w szczególności Sylvii i Ralpha. Starsza pani piata pochwalne hymny na cześć Libby przez cały wieczór, jaki u niej spędził, i wcale nie miała zamiaru ukrywać, że chętnie wystąpi w roli swatki.

- Skąd tyle czułości?
- Bo jesteś cała i zdrowa.

Gdy wszystko się skończyło, opętała go myśl, że jeden nierozważny krok, a Libby mogła podzielić los nieszczęsnego retrievera. Ta świadomość podziałała na niego paraliżująco.

- Ach tak. - Objęła go w pasie.
- Martwiłem się o ciebie.
- Co prawda, Chevrolet Eldona jest trochę większy od mojego samochodu, ale jakoś dałam sobie radę.
- Nie bałem się, że nie dojedziesz. Bałem się na jeziorze. Przez cały czas wydawało mi się, że łód pęknie i znajdziesz się pod wodą.

- Ale nie pękł.
- Całe szczęście.

I Więc rozumiesz teraz, co ja czułam, kiedy ty czołgałeś się po lodzie?

- Chyba tak - odrzekł z łobuzerskim uśmiechem i wprowadził Libby do garażu. - Stanowimy zgrany zespół, prawda?

Spojrzała na niego z ciepłym uśmiechem.

- Jak tam Billy?

- Wraca do siebie. Najgorzej wyglądają palce, ale okłady z żelu aloesowego powinny pomóc. Poza tym dostał środki znieczulające, antybiotyk i zastrzyk przeciwțęzcowy. Aha, jego rodzice pytali o twoje nazwisko, bo chcą ci podziękować osobiście.

Libby roześmiała się.

- A co z psem?

- Tuż przed moim wyjściem ze szpitala dzwonił weterynarz. Zwierzak ledwo zipie.

- Billy się załamie, jeśli pies nie dojdzie do siebie.

- Wiem. Powiedział mi, że musi szybko wyjść ze szpitala, żeby się nim zająć. Widzę, że znalazłaś dla Sam choinkę- dodał.

- Chciałam odłożyć to na później, ale Holley nam ją ściał i подарował.

- Czyli zostają nam tylko ozdoby.

- Tak, chyba że Sam zechce zrobić je razem z nami.

Słowa Libby przypomniały mu o jej trudnej sytuacji finansowej. Znoszone ubrania, mocno zużyte chodniki i talerze, tanie meble w sypialni - wszystko to wskazywało, że Libby liczy się z każdym groszem. Co prawda, narzuty zarzucone na fotele i kanapę czyniły jej salonik bardzo przytulnym, ale głównym ich celem było ukrycie mocno wytartej tapicerki.

Zrozumiał, dlaczego Libby zgodziła się zastąpić koleżankę w dniu przyjęcia świątecznego dla pracowników szpitala. Potrzebne jej były pieniądze nie na wieczorową sukienkę, tylko na coś o wiele ważniejszego, na przykład na prezenty gwiazdkowe dla dziecka. Mimo że sam po raz pierwszy od lat chętnie wzięby udział w takim przyjęciu, nie miał ochoty wybierać się tam samotnie, więc w końcu też dmówił.

- Na pewno. Czego możecie potrzebować?

- Chyba mamy wszystko, ale jak chcesz, to przynieś jeszcze trochę brystolu, kleju i brokatu. Mam zamiar wziąć się do pracy jutro wieczorem, zwykle przygotowuję ozdoby zajmuje nam około tygodnia, bo możemy poświęcić na to tylko dwie godziny dziennie. Kyle musi najpierw odrobić lekcje.

Peter spróbował sobie przypomnieć swój rozkład zajęć na najbliższe dni. Jak to dobrze, że wszystkie wieczory ma wolne.

- Sam na pewno będzie chciała tu przyjść. Najchętniej zostałaaby twoim cieniem, gdybym jej tylko pozwolił.

Twarz Libby oblała się rumieńcem.

- Umówiliśmy się przecież, że postaram się, żeby miała udane Boże Narodzenie.

- A co będzie po świętach¹? - zapytał z udawaną obojętnością.

Godziny spędzone w towarzystwie Libby i Kyle'a przypomniały mu, jak bardzo spragniony jest rodzinnego życia. Niestety, nawet zanim Carol odeszła, nie było mu dane go zaznać.

Libby zeszytniała. Na szczęście, zanim Peter zdążył to zauważyć, odzyskała panowanie nad sobą.

- Nie robię planów na po świętach przed świętami. Kto wie, co może się zdarzyć?

Peter postanowił nie drażnić tematu. Rzeczywiście, wszystko jeszcze jest możliwe, zwłaszcza że najwyraźniej zarówno Sam, jak i Kyle są po jego stronie.

- A propos, co Kyle chciałby dostać na gwiazdkę?

- Między innymi rower.

- Jest jakaś szansa, że ojciec mu go kupi?

Libby zachnęła się.

- Jego ojciec nie widział go na oczy, więc tym bardziej nie kupi mu prezentu.

Peter doszedł do wniosku, że okoliczności znowu mu sprzyjają. Chyba nikt nie będzie mu przeszkadzać, kiedy postanowi zastąpić chłopcu prawdziwego ojca.

Ledwie Kyle poszedł spać, Libby usłyszała energiczne pukanie do drzwi. Na progu stała Sylvia.

- Wpadłam dowiedzieć się, jak minął wam dzień - wyjaśniła, zdejmując kurtkę i gruby szal.

- Nie musiałaś wychodzić w taki mróz. Wystarczyło zadzwonić.

Starsza pani zajęła miejsce przy stole.

- Po pierwsze, nie chciałam obudzić Kyle'a. Po drugie, czasem miło jest wyjść z domu. No to opowiadaj.

- Dobrze. - Libby nalała jej herbaty. - Tylko najpierw ty mi wyjaśnij, co ma oznaczać ta sielanka między tobą a Ralphem?

- Po prostu zakończyliśmy stare spory. - Twarz Sylvii wyraźnie się zaróżowiła.

- To nie był jakiś tam zwykły spór, prawda?

Sylvia zacisnęła dłonie na kubku.

- Wiele lat temu Ralph mi się oświadczył, a ja mu odmówiłam.

- Nie żartuj!

- Był wtedy z niego strasznie niespokojny duch. Często zmieniał zajęcia. Pod tym względem przypominał mojego ojca, więc wiedziałam dobrze, co to znaczy.

- I nie chciałaś dłużej żyć w ten sposób?

- Właśnie. Tylko że Ralph nigdy tego nie zrozumiał. Kiedy byliśmy razem, było naprawdę śmiesznie, ale brakowało mi poczucia bezpieczeństwa.

- Więc odrzuciłaś oświadczyzny.

- Wkrótce potem wyszłam za innego chłopaka, którego znałam ze szkoły. Był dokładnie taki, jakiego sobie wymarzyłam. Stateczny, przedsiębiorczy, lubił siedzieć ze mną w domu. Wyjechaliśmy i spędziliśmy razem wspaniałe trzydzieści dwa lata. Niestety, zmarł przedwcześnie, ale zdołał mi zapewnić na starość finansową niezależność.

- A co przez ten czas działo się z Ralphem?

- Jak wiesz, też się ożenił. Niedługo po ślubie zaczął praco-

wać w firmie budowlanej swojego ojca. Nie wyjechał z Belleville.

Libby nareszcie zrozumiała, skąd brały się te ich nie kończące się kłótnie.

- Więc jakim cudem osiągnęliście wreszcie porozumienie?

- Od dawna chciałam z nim porozmawiać, ale ilekroć zaczynałam, Ralph zbierał się do wyjścia - wyjaśniła Sylvia. - Ale teraz, z nogą w gipsie, nie mógł mi uciec. Musiał mnie wysłuchać, bo nie miał wyboru.

- Jedno z was pewnie sprzeda dom i zamieszkacie razem?
- domyśliła się Libby.

- Rozmawialiśmy już o tym. Ale nie mam zamiaru za niego wychodzić tak długo, jak długo nie pogodzi się z synem. My skończyliśmy stare kłótnie, a teraz chcę, żeby odnowił kontakty z Timem - dodała z ożywieniem.

- Domyślam się, że już coś wymyśliłaś.

- Owszem, ale jeszcze nie dopracowałam szczegółów. Wiem jedno: muszę doprowadzić do tego spotkania, zanim Ralphowi zdejmą gips.

- Możesz liczyć na moją pomoc.

- Dziękuję. A teraz twoja kolej - oznajmiła Sylvia i podparła dłońmi podbródek.

- Samantha i Kyle wybrali choinki, no i mieliśmy niezbyt przyjemną przygodę.

Gdy opowiadała Sylvii o wypadku na plantacji, ta coraz szerzej otwierała oczy.

- Boże, jakie szczęście, że go uratowałaś. Wyobrażasz sobie, co czuliby jego rodzice, gdyby utonął? A jak tam Peter?

- Dobrze.

Libby przypomniała sobie pocałunek w lesie i poczuła, że oblewa ją fala gorąca.

- Jemu potrzebna jest żona, a i Sam przydałaby się matka.

- O ile wiem, Peter świetnie sobie radzi, a pani Bridges i wychowawczynie dają Sam dużo kobiecego ciepła.

- Nie żartuj. Przecież sama nie wierzysz w to, co mówisz.
- Możliwe, ale chyba nie będziesz wymagać, żebym zajęła się każdym osieroconym dzieckiem.

- Nie każdym, tylko Samantha.

Peter też robił jakieś aluzje do przyszłości. Nic dziwnego, przecież to naturalne, że dwoje samotnych ludzi, którzy poznali się dzięki dzieciom, nawiązuje głębszą znajomość. Tylko że zazwyczaj takie kontakty nie są obciążone brzemieniem przeszłości, którego Libby miała nigdy się nie pozbyć, niezależnie od tego, czy tego chciała, czy nie.

- Jest to absolutnie niemożliwe - oświadczyła.

Sylvia przymrużyła powieki.

- Sądziłam, że polubiłaś Sam.

- Owszem.

- Więc w czym problem?

- Istnieją pewne okoliczności... - odrzekła tonem mówiącym, że nie życzy sobie dalszych komentarzy.

- A Kyle? Coś mnie ściska za serce, kiedy widzę, jak wodzi za Peterem pełnym uwielbienia wzrokiem. Chłopcu potrzebny jest ojciec, a lepszego kandydata niż Peter Caldwell na pewno nie znajdziesz.

Libby zacisnęła dłonie na kubku. W głębi duszy zdawała sobie sprawę, że sąsiadka ma rację. Rozsądek mówił jej jednak, że to niemożliwe.

- A może go nie chcesz dlatego, że jest krewnym Kyle'a?

- spytała niespodziewanie Sylvia.

Libby z wrażenia rozlała kawę.

- Co też ci przyszło do głowy? - spytała wstrząśnięta.

- Przecież nie jestem ślepa. Wystarczy spojrzeć na nich dwóch, a raczej na nich troje, żeby zauważyć rodzinne podobieństwo.

Boże, skoro Sylvia dostrzegła, że są podobni, to w końcu Peter też zauważy, pomyślała Libby z niepokojem.

Sylvia przyglądała się jej z uwagą.

- Peter nie znał cię przed przyjazdem do Belleville, więc wątpię, żeby był ojcem. Może jest wujem, co?

Libby potrząsnęła przecząco głową.

- Kuzynem. Ojciec Kyle'a i Peter są stryjecznymi braćmi, a ich ojcowie byli bliźniakami. To dlatego Kyle jest tak do niego podobny.

- Powiesz o tym Peterowi?

- Nigdy w życiu! - odparła gwałtownie.

- Ale gdybyście mieli się związać, będziesz zmuszona powiedzieć mu prawdę.

- Nic między nami nie zajdzie. Nie dopuszczę do tego.

Sylvia zmarszczyła czoło.

- A to dlaczego?

- Bo Bryce, to znaczy ojciec Kyle'a, wiedział, że moja siostra jest w ciąży, i jedyne, co miał jej do zaoferowania, to pieniądze na skrobankę. I to właśnie Peter je przyniósł.

- Mój Boże!

- Rodzina Caldwellów oficjalnie wyrzekła się Kyle'a, więc teraz nie ma dla nich miejsca w jego życiu. Nie zasłużyli na nie.

Sylvia dołała sobie herbaty.

- Może i nie, ale może też nie jesteś obiektywnym sędzią. Poza tym Peter poznał już Kyle'a i wyraźnie polubił. Na pewno go nie skrzywdzi. Powiedz mu prawdę, Niech sam podejmie decyzję.

- No dobrze. Powiedzmy, że cię posłucham. Peter oczywiście powie o wszystkim bratu. I co dalej? Facet ma trzy córki i na pewno ucieszy go wiadomość, że ma syna. Naprawdę uważasz, że nie spróbuje mi odebrać Kyle'a?

- Tak, to możliwe - zgodziła się Sylvia po namyśle.

- A co wtedy zrobi Peter? Po czyjej będzie stronie? Mojej czy Bryce'a? Nie mogę ryzykować utraty Kyle'a. Na razie jest bezpieczny, bo nazwisko Caldwell nie figuruje nawet w jego akcie urodzenia - mówiła niespokojnie Libby.

- Niewiele wiem na ten temat, ale słyszałam, że badanie

kodu DNA umożliwi ustalenie ojcostwa ponad wszelką wątpliwość. Więc jeśli ojciec Kyle'a zechce...

- Zajmę się tym, jeśli zajdzie taka konieczność.

- Mam nadzieję, że wiesz, co robisz. Jeśli Peter dowie się prawdy od kogoś trzeciego, znowu poczuje się oszukany, tak jak wtedy, kiedy zdradziła go żona.

- Wiem - odrzekła Libby ze smutkiem. - Tylko że ja nie mogę zdradzić Elaine i Kyle'a.

Dziesięć dni później Libby została skierowana do pracy na oddziale noworodków. W małej salce dwanaścioro maluchów darło się wniebogłosey.

- Od razu widać, że interes kwitnie - zauważyła, zwracając się do pielęgniarki, która właśnie zmieniała kolejną moką pieluchę. - Niezła gromadka.

- Nic się nie bój - uśmiechnęła się Rhonda łagodnie. - Większość z nich zaraz wróci do sal, gdzie przebywają razem z matkami. Poza tym kilkoro idzie dziś do domu. Zazwyczaj dają sobie radę sama, ale tak się złożyło, że noworodki wymagają ciągłej opieki - wyjaśniła, wskazując dwa łóżeczka umieszczone w izolatce oddzielonej szklaną ścianą od pozostałej części pokoju. - Dziewczynka ma zakażenie ogólne paciorkowcem grupy B. Jej matce za wcześnie odeszły wody, jakieś dwanaście godzin przed porodem. Natomiast chłopczyk ma objawy głodu narkotycznego. Dzięki mamusi, która, jak wykazały badania, zażywała kokainę. Zamordowałabym ją gołymi rękami. Tak krzywdzić dziecko!

Libby przyjrzała się noworodkowi. Spał niespokojnie, co chwila jego buzię wykrzywiał bolesny grymas, jakby chłopczyk chciał krzyczeć, tylko brakowało mu sił.

- Matka twierdzi, że nie ępała przez całą ciążę, ale wzięła działkę, kiedy zaczęły się bóle porodowe.

- Wierzysz jej?

- Ani trochę. Mały ważył niewiele ponad dwa kilo, a na

skali Apgara dostał tylko siedem punktów, a nie dziesięć czy dziewięć, jak inne zdrowe dzieci. Dostaje fenobarbital na złagodzenie objawów takich jak niepokój czy wymioty. Ale jeszcze za wcześnie, żeby powiedzieć, czy nie ma jakichś poważniejszych uszkodzeń. Biorę go na rękę, jak tylko mam chwilkę czasu. Wyraźnie to lubi.

- Sądziłam, że większość kobiet w ciąży zdaje sobie sprawę, jaką krzywdę narkotyki mogą wyrządzić dziecku - wtrąciła Libby.

- Może, ale nie Crystal Paulsen. Podobno chce oddać chłopca do adopcji, bo nie jest mężatką. Mam nadzieję, że dla jego dobra rzeczywiście się na to zdecyduje - westchnęła Rhonda.
- Jeśli chodzi o pracę, chyba wiesz wszystko, bo już tu byłeś. Zawołaj, jak będzie ci potrzebna pomoc.

Libby spędziła następne godziny, przewijając i karmiąc maluchy. Suche i syte wracały na oddział do swych mam. W końcu przyszedł czas na chorą dziewczynkę, o której wspomniała Rhonda. Libby wzięła dziecko na rękę i spojrzała na nie z rozczuleniem. Mała miała jasne włoski na niezwykle kształtnej główce i wyglądała jak aniołek z obrazka. Mocno uchwyciła smoczek butelki, jednocześnie zaciskając mały paluszek wokół palca Libby. Wyssała wszystko do końca i uśmiechnęła się słodko. Libby ułożyła sobie dziecko na ramieniu i leciutko poklepała je po plecach.

- Widzę, że zajmujesz się moją ulubioną pacjentką - powiedział Peter, stając w drzwiach.

- Jest taka cudowna. W ogóle nie płacze. Jeszcze nigdy nie widziałam tak spokojnego dziecka. Kyle wciąż się wiercił, nawet przez sen.

Mandy ziewnęła i zasnęła w ramionach Libby.

- Powinnaś mieć więcej dzieci.

- Bez męża?

- Jesteś młoda. Masz jeszcze czas.

Pozostawiwszy tę uwagę bez komentarza, Libby ułożyła Mandy w łóżeczku. Peter nie odrywał od niej wzroku.

- Masz dobre podejście do dzieci

Libby delikatnie pogłaskała małą po policzku

- Dzięki Szkoda, że zasnęła, bo pewnie zaraz będziesz chciał ją obudzić - zauważyła z żalem w głosie

Peter uśmiechnął się

- A w jakiej jest formie

- Przybiera na wadze Oznaki życiowe i wyniki badań w normie

- No to obejrzę ją następnym razem, a na razie zajmę się tym mężczyzną

Podszedł do łóżeczka małego Paulseny Odwinięty z kocyka maluch zaczął wierzcąc nóżkami, zawodząc przy tym żałośnie Libby próbowała go uspokoić, gładząc go delikatnie po ramionku

- Nie płacz, Tay Zaraz cię wezmę na ręce, tylko pan doktor skończy badanie

Chłopiec krzyczał coraz głośniejsz

- Więc matka wybrała mu już imię - zapytał Peter, przykładając dziecku słuchawkę do serca

- Nie, sama go tak nazwałam, bo me zamierzam zwracać się do niego per „dzidzius”

- Tay to ładne imię

- Tez tak sądzę

Peter wyprostował się

- Na szczęście fenobarbital zredukował objawy głodu

- Jak długo będzie go przyjmował - zapytała, troskliwie otulając malucha pieluszkami i koczykiem

- Najwyżej kilka tygodni Niedługo zacznę zmniejszać dawkę - Przez kilka następnych minut przyglądał się Libby przy pracy - Zawsze chciałaś być pielęgniarką

Nagła zmiana tematu zaskoczyła ją nieco

- Chciałam zostać lekarzem Niestety, życie potoczyło się inaczej, niz myślałam A ty

- Chciałem iść na medycynę, ale ojciec zdecydował, że lepsze będzie zarządzanie

- A co spowodowało, że w końcu jednak zostałeś lekarzem? Przez chwilę milczał, jakby się nad czymś poważnie zastanawiał.

- Kiedyś namówiłem młodą dziewczynę - powiedział w końcu - żeby usunęła ciążę. To był punkt zwrotny.

Libby poczuła, że serce zamiera jej w piersi.

- Dlaczego to zrobiłeś? - zapytała, siadając.

Peter spuścił głowę.

- Ze zwykłego wygodnictwa. Mój brat stryjeczny, który właściwie zastępował mi prawdziwego brata, miał romans ze studentką. Obojgu dziecko mogło przeszkodzić w karierze, więc zabieg wydawał się najlepszym rozwiązaniem. Z biegiem czasu pojąłem, że istniały inne, mniej radykalne wyjścia, aż w końcu pożałowałem tego, co zrobiłem.

- Może ta dziewczyna nie posłuchała was?

- Niestety, nie. Widziałem rachunek od ginekologa.

- A co na to brat?

- Obaj się upiliśmy tamtego wieczora, co nie było zbyt mądre z naszej strony. W każdym razie od tamtej pory Bryce nie jest już taki jak przedtem. Spoważniał, przestał wdawać się w romanse. Sądzę, że do dziś żałuje swojej decyzji. Jeśli o mnie chodzi, to też żałuję, że nie namówiłem go, aby zmienił zdanie.

Libby zacisnęła usta, powstrzymując się od wyznania mu prawdy. Musi dochować tajemnicy. Wyznanie Petera tylko zwiększyło jej obawy, że Bryce może odebrać dziecko. Wolała nie myśleć, ile prawnych problemów miałyby do rozwiązania, gdyby Peter wszystkiego się dowiedział.

- Teraz znasz mój mroczny sekret - powiedział z nikłym uśmiechem i spojrzął na nią z niepokojem. - Zbladłaś. Nie jest ci słabo?

- Nie. Wszystko w porządku. - Z trudem przełknęła ślinę.

- Jestem tylko trochę zmęczona. Muszę złapać drugi oddech.

- Może przygotowania do świąt dają ci się we znaki? W końcu udekorowaliśmy już i domy, i ogródki, i nawet drzewa.

Wczoraj byliśmy na łyżwach, przedwczoraj kolędowniliśmy w domu opieki. Najwyższy czas spędzić spokojny wieczór w domu.

- I przez cały czas wysłuchiwać marudzenia dzieci, że nie wzięliśmy ich na kiermasz. Nie, dziękuję. Wypiję kawę i zaraz odzyskam formę.

Chyba nie zdołała go przekonać.

- Drobną zmianą planów wcale by mnie nie zmartwiła. Może po prostu powalęsam się trochę po mieście, żeby obejrzyć dekoracje, a potem wrócimy do domu?

- Dobrze, ale pod warunkiem, że załatwisz to z dziećmi.

- Dobrze. Wpadniemy po was z Sam koło siódmej - powiedział i wyszedł z pokoju.

Libby siedziała na krześle, tuląc Taya w ramionach. W głowie miała mętlik. W ciągu ostatnich tygodni całkowicie zmieniła zdanie na temat Petera. Już nie uważała go za twardego człowieka o lodowatym sercu. Teraz dowiedziała się, że nie-szczęście Elaine nie pozostało bez wpływu na jego życie. W krótkiej chwili jej determinacja, by nie angażować się w żaden głębszy związek z tym człowiekiem, ustąpiła miejsca tęsknocie. Pokochała Petera.

W uszach dzwoniła jej przestroga Sylvii. Czy jednak może wyznać mu prawdę, ryzykując utratę i jego, i Kyle'a?

Nie. Peter nie może się dowiedzieć, kto jest ojcem jej syna. Dla dobra Kyle'a i jej samej.

Zmęczeni wrażeniami z przejażdżki po świątecznie udekorowanym mieście, które mieniło się wszelkimi kolorami tęczy, Sam i Kyle spali smacznie, śniąc o Świętym Mikołaju, reniferach zaprzężonych do sań i prezentach pod choinkę. Tego samego wieczoru Peter zapukał do drzwi Libby.

- Co się stało? Gdzie jest Sam? - zapytała z lękiem, widząc jego poważną minę.

- Poprosiłem sąsiadkę, żeby jej przypilnowała - wyjaśnił,

wchodząc do salonu. - Wiesz, Libby, nie należę do ludzi cierpliwych. Początkowo miałem zamiar działać bez pośpiechu, ale w końcu stwierdziłem, że lepiej będzie, jak powiem ci od razu.

Libby poczuła zimną obręcz zaciskającą się na szyi. Więc jednak nie zdoła oszukać przeznaczenia...

- O co chodzi? - wykrztusiła.
- Chciałbym, żebyśmy stworzyli rodzinę.
- Słucham? - Nie wierzyła własnym uszom.
- Kocham was oboje, ciebie i Kyle'a. Sam też was kocha.

Dlaczego nie moglibyśmy być razem?

Libby poczuła, że łzy napływają jej do oczu.

- Nie wiem, co powiedzieć.
- Powiedz: „tak”.
- Chciałabym, ale...
- Ale co?

Nerwowo miętoszyła w palcach kołnierzyk bluzki.

- Jest zbyt wiele rzeczy z przeszłości, o których nie mogę ci powiedzieć.

- Nie obchodzi mnie przeszłość, a jedynie to, co mamy przed sobą.

- Teraz tak mówisz, jednak...

Peter ujął jej rękę.

- Uwierz mi, przeszłość nie istnieje. Nie możemy jej zmienić, więc do niej nie wracajmy.

- Gdybym tylko mogła - szepnęła, patrząc mu w oczy.
- Możesz.

Wzruszył ją swoim przekonaniem.

- Skąd ta pewność?
- Taki już jestem.

Z jednej strony stanęła wobec możliwości spełnienia najskrytszych marzeń, z drugiej jednak nadal się bała.

- Kocham was oboje bardziej, niż sobie wyobrażasz. Jednak potrzebuję trochę czasu, zanim powiem „tak”.

- Do świąt. Nie dłużej, dobrze?

- Dlaczego?
- Bo widziałem listy, które nasze dzieci napisały do Świętego Mikołaja.

- Ostatnio, jak widzę, dopisuje ci humor - zauważyła Joni, kiedy spotkały się w korytarzu, oczekując na przyjazd windy.
- Czyżby to miało coś wspólnego z pewnym lekarzem?

- Być może - roześmiała się Libby.

- Wiedziałam!

- A być może dlatego, że Kathy Sanders została dziś wypisana ze szpitala - ciągnęła Libby, mając świeżo w pamięci szczęśliwe twarze, z jakimi Kathy wraz z siostrą przyszły się pożegnać.

- To ta dziewczyna z posocznicą, tak? Rzeczywiście miała szczęście.

- Właśnie. A jak się ma Billy Corbett?

- Jutro wychodzi do domu. Jego dłonie długo jeszcze będą wrażliwe na zimno i będzie musiał na nie uważać, ale w sumie wszystko się dobrze skończyło.

W tym momencie ktoś zawołał Joni do telefonu i Libby została sama. Już miała zrezygnować z windy i zejść schodami, kiedy drzwi w końcu się rozsunęły. W środku stał Peter, który na jej widok szeroko się uśmiechnął.

- Zdobędziesz się na odwagę? - spytał.

Libby weszła do środka.

- Nie ma to jak życie na krawędzi ryzyka.

Ledwie drzwi się zamknęły, Peter chwycił ją w ramiona.

- Chcesz trochę moralnego wsparcia?

- Zawsze. Mam nadzieję, że nikt nie wsiądzie.

- Zastanowiłaś się już nad odpowiedzią na pytanie, które ci zadałem?

- Owszem.

- Więc może wcześniej ogłosimy zaręczyny?

- Nie. W końcu ma to być odpowiedź na listy dzieci do

Świętego Mikołaja. Nic nam się nie stanie, jak poczekamy te dwa tygodnie do świąt.

Wtulona w jego szeroki tors, poczuła, jak westchnął.

- To może przynajmniej ustalimy datę ślubu? Pierwszy stycznia, może być?

- Nie będziemy mieć zbyt wiele czasu, żeby się przygotować.

- A co mamy przygotowywać? Zamówimy księdza, tort i zaprosimy kilkoro przyjaciół.

Libby wyobraziła sobie, jak schodzi w dół po schodach jego domu, ubrana w suknię z białego jedwabiu. Musi trochę potrwać, zanim będzie mogła sobie na nią pozwolić.

- Nie, potrzebuję więcej czasu.

- Ile?

- Nie wiem, ale obiecuję, że niedużo. - Winda zatrzymała się. - Szkoda - zauważyła Libby z żalem.

Peter natychmiast nacisnął przycisk zasuwający drzwi.

- Kiedy możemy się spotkać?

- Kiedy zechcesz.

- Pani Bridges przygotowuje pyszny gulasz. Może przyjdziecie na kolację? Powinienem być w domu po szóstej.

- Z chęcią.

Sposób, w jaki ją pocałował, rozbudził w Libby nowe nadzieje.

- Zdajesz sobie sprawę, jak trudno jest romansować, kiedy na przemian albo pracujesz, albo musisz zająć się dziećmi?

- Aż za dobrze.

- Tylko się nie spóźnijcie - powiedział i winda stanęła.

Dzieci bawiły się w ogródku Sylvii.

- Mamo, możemy iść do Sam? - poprosił Kyle, kiedy Libby przysłała go odebrać. - Musimy coś przygotować.

- A mianowicie?

- Nie możemy powiedzieć. To niespodzianka.

- Dobrze, tylko musisz się najpierw przebrać.

Zrzuciwszy z siebie szkolny strój w rekordowym tempie, Kyle pognał do drzwi.

- Pa, mammo!

Libby skorzystała z okazji, że nie ma go w domu, i zadzwoniła pod numer, który wcześniej zakreśliła w gazecie.

- Owszem, proszę pani. Mamy czerwony rower w rozmiarze, który panią interesuje. Będzie do odebrania pod koniec tygodnia.

- Dobrze, wezmę go - zdecydowała, ciesząc się, że cena, jakiej sprzedawca zażądał, jest nieco niższa, niż się spodziewała. Używany rower jest lepszy niż żaden, a Kyle i tak nigdy się nie pozna. Odłożyła słuchawkę, szczęśliwa, że będzie mogła podarować synkowi na gwiazdkę wymarzony prezent, i właśnie wtedy dobiegł ją przeraźliwy krzyk.

Zerwała się na równe nogi i wyrzała przez okno. Samantha biegła po schodach na werandę, skacząc po trzy stopnie naraz.

- Libby, chodź szybko! Kyle spadł z roweru i się nie rusza!

ROZDZIAŁ ÓSMY

- Gdzie?! - zawołała Libby.

- Przed naszym domem.

Libby rzuciła się we wskazanym kierunku. Z oddali zobaczyła Kyle'a. Leżał nieruchomo na chodniku obok przewróconego roweru. Na szczęście nie był sam, bo pani Bridges zdążyła już przybiec na miejsce wypadku. Libby ujrzała jej zatrwożoną twarz i poczuła, że uginają się pod nią nogi.

- Nie wiem, co się stało. Sam czekała na Kyle'a na dworze i nagle zaczęła krzyczeć. Od razu wysłałam ją po panią - tłumaczyła gospośia.

Libby uwolniła nogi dziecka spomiędzy szprych i uklękła przy nim na ziemi. Starła się stłumić przerażenie i działać z opanowaniem.

- Kyle, kochanie, słyszysz mnie?

Chłopiec się nie poruszył.

Fioletowy siniec i guz rosnący na czole wskazywały, że stracił przytomność na skutek uderzenia w głowę. Libby spostrzegła też, że nogawka dżinsów w okolicy kolana przesiąkła krwią.

- Proszę wezwać pogotowie - zwróciła się do pani Bridges.
- Niech pani powie, że podejrzewam obrażenia głowy. - Gospośia pobiegła do domu. - A ty przynieś ręcznik, żeby owinać mu nogę - poleciła Samancie.

Skaleczenie było dość głębokie, ale nie na tyle, by usprawiedliwić aż tak obfity krwotok.

- Kyle, to ja, mama. Wszystko będzie dobrze, tylko otwórz oczy.

Drzwi domu zamknęły się z hukiem i po chwili Sam podała jej ręcznik. Zanim Libby skończyła opatrywać ranę, na miejscu wypadku pojawiła się policja i pogotowie. Sanitariusze ustawili nosze.

- Jest nieprzytomny od mniej więcej dziesięciu minut - wyjaśniła Libby.

Ze ściśniętym sercem patrzyła, jak usztywniwszy chłopcu szyję, sanitariusze układają go na noszach. Ręcznik, którym owinęła skaleczoną nogę, całkowicie przesiąkł krwią.

Nadbiegła Sylvia.

- Co mu jest?

- Nie wiem - odrzekła Libby z trudem.

Sąsiadka objęła ją ramieniem.

- Nie bój się. Wszystko będzie dobrze. Kyle to twardy chłopiec.

- Wiem.

Sanitariusze podnieśli nosze i wsunęli je do karetki.

- Mogę jechać z wami? - spytała Libby. - Chciałabym być przy nim, kiedy odzyska przytomność.

Ruszyli na sygnale przez miasto.

- Mamy zawiadomić pani lekarza?

- Tak, poproszę. Doktora Caldwell.

Sanitariusz połączył się ze szpitalem przez krótkofalówkę. Zanim dotarli na miejsce, Kyle powoli podniósł powieki.

- Kyle, słyszysz mnie?

- Mamo? - powiedział cicho. - Gdzie ja jestem?

- Miałeś wypadek. Jesteśmy w karetce i jedziemy do szpitala.

Przy drzwiach prowadzących na izbę przyjęć oczekiwał ich Peter w towarzystwie dwóch pielęgniarek. Libby odetchnęła z ulgą.

- Co się stało? - spytał.

- Spadł z roweru - wyjaśniła, a sanitariusze podali resztę informacji na temat stanu chłopca.

- No i co, synu Znowu rozwaliłeś rower?
- Chyba tak - odparł Kyle z twarzą wykrzywioną bólem
- Co cię boli
- Głowa i kolano

Usuwając zakrwawiony ręcznik, Peter wydawał polecenia pielęgniarce

- Zdjęcie kręgosłupa, czaszki, badanie ogólne krwi - Przyjrzał się uważnie krwawiącej ranie - I jeszcze testy na krzepliwość - Pochylił się nad Kyle'em - Będziemy ci robić różne badania, ale nie masz się czego bać Nic cię nie będzie bolało Przez cały czas będę przy tobie

- Gdzie jest mama

Libby natychmiast znalazła się przy dziecku

- Tutaj, kochanie
- Pomoże nam pani wypełnić kartę przyjęcia - spytała rejestratorka w niebieskim uniformie
- Nie chcę od niego odchodzić - zaprotestowała Libby
- Wszystko będzie dobrze, prawda, synu - Peter próbował ją uspokoić - Idź i przy okazji napij się kawy

Libby w końcu uległa jego namowom Zanim skończyła wypełniać papiery, Kyle został przewieziony na radiologię

Nie mogąc znieść beczynności, podeszła do automatu z napojami i w tej chwili uświadomiła sobie, że jest bez grosza, bo przecież jej torebka została w domu Zaczęła przeglądać mocno już podniszczony tygodnik, lecz czas dłużył się jej w nieskończoność W końcu wszedł Peter i Libby zerwała się na równe nogi

- Co mu jest Mogę go zobaczyć

Objął ją i posadził na kanapie dla odwiedzających

- Za chwilę możesz - powiedział
- Co wykazały zdjęcia
- Nie ma uszkodzeń rdzenia

Odetchnęła z ulgą

- A głowa

- Lekkie wstrząśnienie mózgu. Tomograf nie wykazał żadnych poważnych uszkodzeń, ale ma rozległy podskórny krwiak w okolicy uderzenia. Dlatego postanowiłem zatrzymać go na obserwacji.

- A co z nogą?

- Założyłem dziesięć szwów.

- Czy nie uszkodził tętnicy? Krwawił tak mocno.

- To jeszcze jeden powód, dla którego chcę go zatrzymać. Przy takim skaleczeniu krwawienie nie powinno być aż tak silne, dlatego zleciłem testy na krzepliwość. Wyniki nie są najlepsze.

- Co przez to rozumiesz?

- Norma to trzydzieści sekund, a u Kyle'a wyszło czterdzieści osiem. Czas krwawienia też jest zdecydowanie za długi. Zdaje się, że cierpi na pewne zaburzenia krzepliwości.

- Jakie zaburzenia?

- Tego jeszcze nie wiemy, dlatego muszę ci zadać kilka dodatkowych pytań. O ile wiem, ma często krwawienia z nosa, prawda?

Libby przytaknęła.

- Nie zauważyłaś, żeby miał skłonność do siniaków?

- Zwykle ma jakiegoś sińca gdzieś na ciele, jak to dziecko.

- Czy ty lub ktoś z twojej rodziny cierpiał na jakąś chorobę krwi?

- Nie, nikt.

- A ojciec Kyle'a?

Zawahała się.

- Nie wiem. Podejrzewasz hemofilię? - spytała z przerażeniem.

- Albo chorobę von Willebranda.

Libby poczuła skurcz serca.

- Są dwa rodzaje hemofilii, ale wątpię, żeby Kyle cierpiał na któryś z nich. Objawy wystąpiłyby znacznie wcześniej. Jeśli chodzi o von Willebranda, wielu ludzi dowiaduje się, że

są chorzy, dopiero kiedy muszą poddać się jakiemuś zabiegowi albo poważnie się zranią. W każdym razie musimy przeprowadzić serię badań. Za kilka dni będę miał pełny obraz sytuacji.

- Rozumiem - wykrztusiła.

- Nie martw się - Peter wziął ją za rękę - wszystko będzie dobrze. W dzisiejszych czasach choroba Willebrandto nie wyrok śmierci. Mimo że jest dziedziczna i może być przekazana przez każde z rodziców, wielu chorych prowadzi całkowicie normalne życie. Wiem o tym nie tylko ze szkoły, ale i z doświadczenia. Mój brat stryjeczny odziedziczył ją po matce. Co prawda, każdy zabieg, z usunięciem zęba włącznie, musi planować sporo naprzód, ale poza tym choroba zupełnie nie przeszkadza mu funkcjonować. - Wstał. - Chodź, Kyle pewnie nie może się ciebie doczekać.

Libby ruszyła w ślad za Peterem. Nie potrzebowała już wyników badań laboratoryjnych, by wiedzieć, na co cierpi Kyle. Oczywiście, odziedziczył chorobę po ojcu. Kiedy w końcu Peter połączy wszystkie fakty i domyśli się prawdy?

Wsiedli do windy. Peter wcisnął przycisk czwartego piętra i przytulił ją mocno.

- Jadłaś coś dzisiaj?

Zaprzeczyła.

- Przyjechałam karetką, a pieniądze zostały w domu. Poza tym i tak nie byłabym w stanie nic przełknąć.

Przed drzwiami do pokoju Kyle'a Libby wzięła głęboki oddech, starając się odzyskać równowagę ducha.

- Nie bój się. Będzie dobrze.

- Wiem - odparła, prostując plecy, i weszła do środka.

- Czekałem na ciebie całe wieki - powitał ją chłopiec.

Czoło pokrywał mu wielki granatowy siniec. Z ręki przytwierdzonej do małej deseczki sterczał wenflon kroplówki.

- Jak się czujesz, kochanie? - zapytała, uradowana faktem,

że już całkiem odzyskał przytomność. Instynktownie ujęła rękę chłopca, jakby chciała sprawdzić, czy to naprawdę on.

- Chce mi się spać. Zostaniesz ze mną na noc? - spytał. Dolna warga zadrżała mu, jakby miał się zaraz rozpłakać.

- Oczywiście. Przecież nie mogłabym zostawić cię samego - zapewniła, całując chłopca w policzek, i delikatnie odgarnęła niesforny kosmyk włosów, opadający mu na czoło.

Kyle zamknął oczy. Libby spojrzała z wdzięcznością na Petera, który właśnie przystawił jej krzesło, by mogła usiąść, nie wypuszczając ręki dziecka. Nachylił się i poinformował szeptem:

- Pielęgniarki będą zaglądać co trzydzieści minut, żeby sprawdzić, czy nie ma objawów wzrostu ciśnienia śródczaszkowego. Wiesz, co to znaczy, prawda?

- Tak. Sprawdzą parametry życiowe, reakcję źrenic na światło i stopień świadomości.

- Zwróć też uwagę na wszelkie objawy sztywnienia karku, co mogłoby oznaczać krwawienie wewnątrzoponowe. Rano zrobimy mu kolejną tomografię.

- Jak długo chcesz go tu trzymać?

- Co najmniej dwadzieścia cztery do czterdziestu ośmiu godzin. Potem się zastanowię. Teraz jadę do domu zobaczyć, co słychać u Samanthy. Przywieźć ci coś?

- Nie. Tylko zadzwoń do Sylvii, żeby się nie martwiła.

- Zaraz to zrobię - obiecał, całując ją w policzek.

Czułość, z jaką ją traktował, podziałała jak balsam na jej cierpiącą duszę. Jednak gdy tylko zamknął za sobą drzwi, z jej oczu popłynęły strumienie łez.

Peter odłożył słuchawkę. Właśnie podano mu najświeższe wyniki badań Kyle'a. Mimo że nie były kompletne, wszystko wskazywało na to, że nie pomylił się w diagnozie. Chłopiec cierpi na chorobę von Willebranda.

Siedział wygodnie w fotelu i wpatrywał się w obraz na ścia-

nie. W domu panowała cisza. Nagle od drzwi dobiegł go głos Samantha:

- Tatusiu, wiem, że jesteś zajęty, ale czy mogę cię o coś zapytać?

- Oczywiście, kochanie.

Podbiegła do ojca i wdrapała się mu na kolana.

- Czy Kyle zdąży wrócić do domu na święta?

Pogładził córkę po głowie.

- Święta są dopiero za dwa tygodnie, a Kyle pobędzie w szpitalu tylko kilka dni.

- To dobrze, bo nie wiedziałam, gdzie mu zanieść prezent pod choinkę.

- Zaniesiesz mu go do domu. No, a teraz spać. Dochodzi dziewiąta, a rano musisz iść do szkoły.

- Dobranoc. - Przytuliła się mocno do ojca i gorąco ucałowała go w policzek.

Patrząc na wybiegającą córkę, zastanowił się, jak by się teraz czuł na miejscu Libby. Świetnie rozumiał jej ból. Przecież pokochał Kyle'a jak własnego syna.

Jest im wszystkim pisane zostać rodziną. Przecież już kilka razy na różnych wycieczkach obcy ludzie zaczepiali go, żeby zapewnić, jak bardzo i Samantha, i Kyle są do niego podobni. On też zauważył, że mają nie tylko ten sam kolor włosów. Nawet pewne zachowania Kyle'a bardzo przypominały mu własne. Nie tak dawno Libby narzekała, że chłopiec przesadnie dąży do perfekcji. A czyż jego własna matka i ciotka nie czyniły mu podobnych zarzutów? I do tego Kyle cierpi na tę samą chorobę, co Bryce. Co za zbieg okoliczności!

Nagle pewna myśl zaświtała mu w głowie. Może to nie przypadek, że tak są do siebie podobni? Ciarki przeszły mu po grzbiecie. Sięgnął po kartkę i szybko dokonał obliczeń. Wszystko się zgadza. Kyle urodził się niespełna rok po tym jak Peter skończył wydział zarządzania. Przypomniał sobie nazwisko na kopercie, którą zaniósł do akademika: E. Brown. Czyżby „Lib-

by" to zdrobnienie? Czy dlatego poczuł taką słabość do Kyle'a, że w rzeczywistości łączą ich więzy krwi? Libby mówiła, że miała siedemnaście lat, kiedy musiała odejść z college'u. To też się zgadza. Tak jak tamta dziewczyna, rozpoczęła studia medyczne. W dodatku sama mówiła, że nie widziała ojca Kyle'a od czasu ciąży. Zrozumiał, że musi być tą samą osobą, z którą rozmawiał owego wieczoru w akademiku. Fakt, że dziewczyna wyglądała inaczej i miała żywszy temperament, nie rozwiązał wątpliwości. Widać zmieniła się z biegiem lat.

Uświadomił sobie, że znowu został oszukany. Libby musiała go od razu rozpoznać. Nic dziwnego, że tak go unikała. Gdyby nie Sam, pewnie nigdy nie zwróciłyby na nią uwagi. Myślni wrócił do Samantha. Na szczęście nic nie wiedziała o jego planach. Gdyby je znała, przeżyłaby teraz ciężkie rozczarowanie. Z goryczą pomyślał, jak bardzo Libby zawiodła jego zaufanie. Jak to dobrze, że poznał jej tajemnicę, zanim cokolwiek zostało postanowione.

- Poprosiłem Sylvie, żeby przyniosła twój płaszcz i torebkę - oznajmił, rzucając je na krzesło.

- Dziękuję. - Podeszła, chcąc go uściskać, lecz Peter nie odwzajemnił przyjaznego gestu. Libby poczuła, że ogarnia ją strach.

- Coś nie tak z wynikami Kyle'a? - zapytała.

- Wstępne badania potwierdziły moją diagnozę, jednak po tym, co opowiedziałem ci wczoraj o Brysie, nie powinno cię to zdziwić.

Więc już wie, pomyślała. Chciała coś powiedzieć, lecz zmroził ją tak lodowatym wzrokiem, że głos uwiązł jej w gardle. Odwróciła się i spojrzała na synka.

- Domyślam się, że Libby to zdrobnienie.

- Tak, od Elizabeth.

- To z tobą rozmawiałem w akademiku?

- Tak.

- I nie poszłaś wtedy do lekarza?

Wskazała na Kyle'a.

- To chyba oczywiste.

- To kto u niego był?

- Oddałam kopertę dziewczynie, która znalazła się w podobnej sytuacji.

- Skąd taka przebiegłość?

- Chyba żartujesz. Bryce zagroził, że odbierze mi dziecko, jeśli podam go jako ojca albo zażądam alimentów. Chciał, żebym poszła na zabieg, a na to nie mogłam się zgodzić, więc zamiast wyrzucić list do śmieci, oddałam go osobie, której był naprawdę potrzebny. Pozwolisz, że dokończymy tę rozmowę kiedy indziej i nie tutaj?

- Skończymy ją teraz, tylko może rzeczywiście gdzie indziej - powiedział, wskazując jej drogę do wyjścia.

- Nie chcę go zostawiać..

- Śpi przecież. Niedługo wrócisz.

Peter zaprowadził ją do pokoju, w którym akurat dziś nie leżał żaden pacjent.

- Dlaczego mi nie powiedziałaś? - spytał, patrząc na nią spod przymrużonych powiek.

- Nie mogłam.

- Wielki Boże, Libby, przecież poprosiłem cię o rękę. Chyba miałem prawo wiedzieć.

Libby poczuła, że ogarnia ją gniew.

- Sam mówiłeś, że nie obchodzi cię przeszłość, tylko przyszłość. Teraz okazuje się, że to tylko puste słowa.

- Nieprawda.

- To dlaczego tak się złościysz? Czy dlatego, że usłuchałam twojej rady i próbowałam zapomnieć o przeszłości? A może dlatego, że ojcem Kyle'a jest twój brat?

- Powinnaś mi była powiedzieć!

- Ciekawe kiedy? Możę wtedy, kiedy pierwszy raz spotkałam cię w windzie? Albo kiedy przyszłam do ciebie porozma-

wiać o konkursie? A może kiedy przyszedłeś poprosić o pomoc w przygotowaniach do świąt?

- Wspominałem ci przecież o wyrzutach sumienia, jakie miałem po tym, kiedy nakłoniłem pewną studentkę do usunięcia ciąży. Straciłaś doskonałą okazję.

Usiadła na łóżku. Miała za sobą tyle przeżyć, że poczuła się całkowicie wyprana z energii.

- Nie potrafiłam.

- A może chciałaś zrobić ze mnie głupca? Może z perwersyjną przyjemnością postanowiłaś owinać sobie wokół palca kolejnego Caldwell? O co ci chodziło? Chciałaś się zemścić?

- Nie.

- To dlaczego o niczym mi nie powiedziałaś? - spytał z rozpaczą w głosie.

Libby otarła łzy.

- Powtórzyłybyś wszystko Bryce'owi, a on postarałby się odebrać mi dziecko.

- On też ma prawo wiedzieć - rzekł Peter.

Libby zerwała się na równe nogi.

- Nie ma żadnego prawa! - krzyknęła, zaciskając pięści.
- Nie chciał tego dziecka. Gdybym was posłuchała, Kyle w ogóle by się nie urodził.

- Bryce żałuje swojej decyzji.

W głębi duszy wiedziała, że Peter ma rację, lecz nie była jeszcze w stanie mu wybaczyć.

- Może i tak, ale jeśli o mnie chodzi, jest już za późno. Bryce Caldwell nie ma Syna, Kyle należy do mnie - podkreśliła z emfazą.

Peter pokręcił głową.

- Jednak fakt pozostaje faktem - powiedział, ruszając w stronę drzwi.

Libby zagroziła mu drogę.

- Co zamierzasz teraz zrobić?

- Tak jak ty dokonać jedyne go słusznego wyboru. - Otworzył drzwi na korytarz, jednak zanim wyszedł, spojrzął na nią przez ramię. - Nie będę ukrywał, iż jestem ci wdzięczny za to, że mnie wówczas nie posłuchałaś.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Wróciła do pokoju Kyle'a i ze ściśniętym sercem spjrzała na śpiącego chłopca. Nikomu cię nigdy nie oddam, pomyślała, gładząc go delikatnie po policzku.

Nie miała żalu do Petera; nie oczekiwała innej reakcji. Może kiedyś jej przebaczy? Wie już, kto jest ojcem chłopca, ale nadal nie zna całej prawdy. Przecież Bryce zorientuje się natychmiast, że to nie ona urodziła Kyle'a. Sama nie wiedziała, dlaczego jeszcze nie wyjaśniła tego Peterowi. Będzie miał podstawy, żeby znowu oskarżyć ją o kłamstwo.

Przez całą noc drzemała na krześle przy łóżku Kyle'a, budząc się za każdym wejściem pielęgniarki. Mimo że nie wystąpiły żadne niepokojące objawy, Libby pograżyła: się w czarnej rozpacz. Dopiero pierwsze promienie wschodzącego słońca nieco poprawiły jej nastrój. Nowy dzień rodzi nadzieję na lepsze jutro.

Peter w końcu zrozumie, że kierował nią lęk o syna, że nie miała wyjścia. Postanowiła, że gdy tylko pojawi się na obchodzie, odciągnie go na bok i wyzna wszystko do końca.

Pielęgniarki zaczęły rozwozić śniadanie. Libby pobiegła do łazienki i umyła twarz, a potem połknęła dwie tabletki, żeby złagodzić dokuczliwy ból głowy. Zanim wróciła do pokoju, Kyle'owi pobrano kolejną próbkę krwi.

- Świetnie się spisujesz, kochanie. Jak się czujesz?
- Lepiej. Jestem głodny.

Apetyt jest najlepszą oznaką powrotu do zdrowia, pomyślała.

- Nie martw się, zaraz coś dostaniemy.

W drzwiach ukazała się Joni, ubrana w wesoły fartuszek z rysunkami żyraf i słońi.

- Dzień dobry, Kyle Widzę, że już me spisz
- Testem głodny
- Zaraz przyniosę śniadanie, tylko zmierzę ci temperaturę

Słyszałam, co się stało - zwróciła się do Libby - Trzeba było zadzwonić, tobym wpadła W takich sytuacjach ciężko jest bać się samemu

- O której doktor Caldwell robi obchód
- Gdzieś za godzinę, ale zostawił kartkę, że od dziś Kyle'a przejmuję doktor Downey, który właśnie wrócił z urlopu

Zrozumiała, że nie ma co liczyć na szybkie spotkanie z Peterem Odwrócił się od nich obojga W jednej chwili wszelkie marzenia o założeniu wspólnej rodziny legły w gruzach Poczuli, że coś dusi ją w gardle

- Nie powiedział ci
- Musiałam zapomnieć
- No, młody człowieku, jesteś dziś w znakomitej formie Zaraz przyniosę ci śniadanie - Wróciła po chwili, niosąc na tacy jajecznicę i grzanki - Zadzwońcie, jak będziecie czegoś potrzebować A może pobiegiesz do domu - zaproponowała koleżance - żeby się przebrać Zajmę się Kyle'em, żeby znowu nie popadł w jakieś tarapaty

- Dzięki, ale samochód mam w domu Zadzwonię do sąsiadki i poproszę, żeby mi coś przywiozła

- Nie wygłupiaj się - Joni wcisnęła jej w rękę kluczyki do samochodu - Dobrze ci zrobi chwila przerwy Kyle wytrzyma parę godzin bez mamy

- No dobrze, ale za pół godziny jestem z powrotem
- Nie śpiesz się Jeśli nas tu nie zastaniesz, to znaczy, że zabrali go na radiologię

Libby pojechała do domu Na widok choinki, którą ubierali wspólnie z Peterem i Samanthą, ogarnął ją gniew Przez krótką chwilę miała ochotę wyrzucić drzewko na śmietnik, a razem z nim wszelkie wspomnienia

Wiedziała jednak, że me może sobie na to pozwolić Mimo

że zachowanie Petera zabolęło ją do żywego, nie zapomniała, że święta są przede wszystkim dla dzieci. Nie może zranić Kyle'a. Co by mu wtedy powiedziała? Wszelkie wyjaśnienia jeszcze bardziej by wszystko skomplikowały. Musi zachować milczenie.

Wzięła prysznic, przebrała się i po trzydziestu minutach znalazła się znów w pokoju syna. Za drzwiami usłyszała głos Petera, jednak nie wszedł do środka. Była rozgoryczona. Może mieć żal do niej, ale dlaczego krzywdzi też chłopca?

- Peter dziś nie przyjdzie? Wydawało mi się, że go słyszę?
- rzekł chłopiec.

- Pewnie ma innych pacjentów. Jest zajęty, więc chyba nie będzie mógł do nas zajrzeć.

Doktor Downey badał Kyle'a tego dnia dwukrotnie, rano i po kolacji.

- Na wszelki wypadek zatrzymam go jeszcze na noc. Dzięki lekowi zleconym przez doktora Caldwell'a wyniki badań prawie wróciły do normy. Tomografia też wypadła dobrze, ale chcę rano jeszcze raz obejrzeć mu głowę. Jeśli nic się nie zmieni, jutro będziesz mogła zabrać dziecko do domu.

Kyle spędził resztę wieczoru, oglądając telewizję. Libby drzemała na siedząco. Gdy w pewnej chwili usłyszała głos Petera, drgnęła jak porażona prądem.

- Jak się dziś ma mój sąsiad? - zapytał Peter, podchodząc do łóżka.

- Więc jednak przyszedłeś! - Kyle nie posiadał się z radości.

- A co, myślałeś, że zapomniałem? - Peter udał, że czuje się urażony.

Chłopiec wzruszył ramionami, a Libby zacisnęła usta, żeby powstrzymać się od komentarza.

- Miałem dziś dużo pacjentów. A ty, jak słyszałem, czujesz się już dobrze i jutro wracasz do domu.

- Tak powiedział doktor Downey. - Kyle skierował na Pe-

tera rozżalone spojrzenie. - Dlaczego nie chcesz mnie już leczyć?

- Doktor Downey wrócił z urlopu. Ja go tylko zastępowałem.

- Ale ja wolałbym ciebie.

- To, synu, nie zależy ode mnie, tylko od twojej mamy.

Obaj jednocześnie popatrzyli na Libby, lecz Libby pozostała nieugięta.

- Chodzimy do doktora Downeya od wielu lat i niech tak zostanie.

- Ale mamusiu...

- Porozmawiamy na ten temat później - dodała najbardziej stanowczym tonem, na jaki potrafiła się zdobyć.

Kyle skulił się i zrobił zawiedzioną minę.

- Nie martw się. Od czasu do czasu będę cię odwiedzał - pocieszał go Peter.

Akurat, pomyślała Libby i od razu skarciła się w duchu. Przecież Peter nie ma nic przeciwko Kyle'owi. To jej obecność jest mu nie na rękę.

- Zanim zapomnę... - Wyjął z kieszeni kopertę. - Sam prosiła, żeby ci to oddać.

Kyle wyjął ze środka złożoną na czworo kartkę, na której narysowany był domek. Na schodkach stał mężczyzna z dziewczynką, a na chodniku kobieta z synkiem. Napis pod spodem głosił: Wracaj szybko do domu.

- Mamusiu, zobacz.

- Jest śliczny. Musisz zawiesić go na ścianie w swoim pokoju - powiedziała.

Odwróciła się i zamknęła oczy. Czyżby zaczynała być zazdrosna o czułość, z jaką Peter zwraca się do jej dziecka? Tak bardzo chciała się znaleźć w jego ramionach. Czy to marzenie nigdy się nie spełni?

- Do widzenia, Kyle. Bądź dobry dla mamy - rzekł Peter i wyszedł z pokoju.

Nawet na nią nie spojrzął. Po raz pierwszy w życiu poczuła, co znaczy zostać odepchniętą, i natychmiast przypomniała sobie Elaine. Jak potwornie musiała się czuć, kiedy została sama...

Tydzień ciągnął się w nieskończoność. Kolędy, na które czekała przez cały rok, denerwowały ją do tego stopnia, że wyłączała radio. Robiła jednak, co mogła, by ukryć swój smutek przed Kyle'em.

- Mamo, pojedziemy w końcu do Elfa? Święta są już za dziesięć dni i jak teraz przegapimy okazję, będę musiał znowu czekać cały rok.

- No dobrze. - Kyle wykazał się już taką cierpliwością, że nie miała sumienia znowu go rozczarować. - Pod warunkiem, że wcześniej wrócimy.

Chłopiec podskoczył radośnie.

- Możemy jechać od razu?

- Tylko się ciepło ubierz.

- Mogę zabrać łyżwy?

- Lepiej nie. Może następnym razem - zaprotestowała z obawy, żeby się znowu nie zranił.

W drodze Kyle zaskoczył ją kolejnym pytaniem:

- Dlaczego Sam i ja nie możemy się już razem bawić?

- A kto mówi, że nie możecie?

- Właściwie nikt. Tylko ile razy cię zapytam, mówisz „nie teraz”, a kiedy Sam prosi tatę, on mówi dokładnie to samo.

- Skąd wiesz?

- Przecież rozmawiamy na przerwach. Czy ty i Peter już się nie lubicie?

- Oczywiście, że tak. Po prostu Peter pewnie chce mieć Sam dla siebie przez te kilka dni, a ty byłeś w szpitalu i musisz trochę na siebie uważać. Poza tym lubię być tylko z tobą.

- Ja też, ale jak byliśmy w czwórkę, też mi się podobało.

Mimo zimna kiermasz był pełen zwiedzających. Libby pozwoliła Kyle'owi nakarmić renifera i inne zwierzęta, poczyn-

jąc od małego wielbłąda, a na trzech małych kózkach kończąc. Potem przejechali się ciuchcią i odwiedzili Świętego Mikołaja.

- Nie wiem jak ty, ale ja trochę zmarzłam - powiedziała, widząc blask ogniska rozpalonego nad zamrzniętym stawem.

- Ja też. Mamo, tam jest Peter! - zawołał Kyle i rzucił się przed siebie, zanim zdążyła zaprotestować.

Rzeczywiście, wśród ludzi grzejących się przy ogniu rozpoznała znajomą sylwetkę. Peter uśmiechnął się szeroko, widząc chłopca.

- O, Kyle, a gdzie mama?

- Już idzie.

Peter obejrzał się i Libby mogłaby przysiąc, że jego radość nieco przygasła.

- Gdzie jest Sam? - spytała.

- Setny raz jedzie kolejką. Postanowiłem nieco się ogrzać.

- Przyniosę coś do picia. Możesz przypilnować Kyle'a?

Z jednej strony, nie chciała zostawiać dziecka pod jego opieką, z drugiej jednak zdawała sobie sprawę, jak Kyle'owi zależy na towarzystwie Petera.

- Oczywiście.

Odeszła szybkim krokiem, mając nadzieję, że gdy tylko wróci, znajdzie w sobie dość odwagi, by opowiedzieć mu swoją historię do końca.

Peter rozgarniał żar patykiem.

- Długo się nie widzieliśmy. Jak się czujesz?

- Peter, czy ja umieram? - Kyle z powagą spojrzął mu w oczy.

Chyba po raz pierwszy w życiu Peterowi zabrakło słów.

- Oczywiście, że nie. Co ci przyszło do głowy?

Kyle wzruszył ramionami.

- Mama na nic mi nie pozwala. Wolno mi tylko lepić modele i grać w gry planszowe. Poza tym, choć stara się to ukryć, często płacze, głównie w nocy. A ty i Sam już nas nie odwiedzacie.

Peter otoczył chłopca ramieniem. Przez ostatnie dni wciąż bił się z myślami, próbując podjąć obiektywną decyzję. Niestety, nic mu z tego nie wychodziło. Zrozumiał, że nadal kocha Libby, choć wciąż nie rozumiał motywów jej działania. Pytanie, które zadał mu Kyle, podziałało jak drogowskaz. Już nie miał wątpliwości.

- Jesteś bardzo bystry, skoro to wszystko zauważyłeś. Stałem ostatnio przed bardzo trudnym wyborem i dlatego nie mogliśmy do was przychodzić. A mama po prostu się o ciebie boi. Uspokoi się, kiedy w końcu uwierzy, że przy byle skaleczeniu nie będziesz ładował w szpitalu. Daj jej trochę czasu.

- To dlatego tak płacze.

- Chyba tak - odrzekł, choć intuicja podpowiadała mu, że to on jest przyczyną jej łez.

- Więc wyzdrowieję.

- Oczywiście. Posłuchaj, czy mógłbym cię okłamywać po tym wszystkim, co razem przeszliśmy.

- Chyba nie.

- Może pojeździsz z Sam kolejką - zaproponował, widząc zbliżającą się Libby.

- No pewnie - chłopiec natychmiast pobiegł w kierunku kolorowej stacji.

- Usiądź - rzekł Peter i wskazał Libby miejsce na grubym pniu przy ognisku.

- A gdzie Kyle?

- Poszedł się przejechać.

Peter przyjrzał się twarzy Libby. Oczy miała podkrążone, wyraźnie schudła.

- Wiele ostatnio myślałem.

- Tak.

- Niezależnie od tego, co zrobię, ktoś będzie cierpieł.

Libby podniosła kubek do ust, drżącą ręką.

- Kocham cię, Libby, i jeszcze przed chwilą gotów byłem przystać na twoją prośbę.

- I co się takiego wydarzyło?
- Kyle boi się, że umiera.
- Co?!
- Słyszałaś przecież. Mówi, że na nic mu nie pozwalasz i ciągle płaczesz.

- Mój Boże! - szepnęła drżącymi wargami.
- Ktoś musi mu wyjaśnić, że może zachowywać się dokładnie tak samo jak dotychczas. Uważam, że przekonać go może jedynie człowiek, który sam przez to przeszedł.

- To wcale nie musi być Bryce. Jest mnóstwo różnych grup terapeutycznych. Na pewno jakąś znajduję.

- W Belleville? Wątpię. W międzyczasie będziesz go chować pod kloszem, a Kyle jest na to zbyt żywym dzieckiem.

- Wiem, tylko że mówimy o moim synu. Sama wiem, co jest dla niego najlepsze. Ja i nikt inny.

- Przesadzasz.

- Doprawdy?

- Bryce bardzo by mu pomógł.

- Proszę bardzo, tylko nie musi wiedzieć, że jest jego ojcem.

Peter pokręcił głową.

- Są tak do siebie podobni, że od razu się domyśli.

- Ty się nie domyśliłeś.

- Nie przyglądałem mu się. Myślałem tylko o tym, jak przetrwać kolejne święta. - Zawahał się. - Choć z jednej strony chcę być lojalny wobec Bryce'a, a z drugiej rozumiem twoje obawy, tak naprawdę liczy się tylko dobro Kyle'a.

- I uważasz, że będzie dla niego dobrze, kiedy się dowie, że tatuś nie chciał, żeby się urodził, a teraz zmienił zdanie?

- Bryce założył rodzinę. Możliwe, że w ogóle nie będzie próbował się mieszać w wasze życie.

- A jeśli nie? - Spojrzała mu prosto w oczy, - Po czyjej będziesz stronie, jeśli spróbuje odebrać mi dziecko?

- Nie sądzę, żeby do tego doszło.

- A możesz mi to zagwarantować na piśmie?

- Nie, ale jeśli mamy spędzić resztę życia razem, nie możemy mieć przed sobą tajemnic.

Libby roześmiała się głośno.

- Spędzić razem życie, dobre sobie! Chyba żartujesz. Czy naprawdę uważasz, że możemy uratować nasz związek, skoro chcesz się przyczynić do odebrania mi Kyle'a? Jeśli kochać znaczy zadawać ból, to ja nie chcę takiej miłości.

- Wcale tak nie uważasz.

- A jak byś się czuł na moim miejscu?

- Obiecuję ci, że nie stracisz syna.

- Peter - szepnęła udręczonym głosem. - Przecież dobrze wiesz, że nie możesz mi niczego obiecać. Porozmawiasz z Bryce'em i gdy tylko uświadomisz sobie, ile Kyle może skorzystać, mieszkając z ojcem, od razu usprawiedliwisz jego kroki.

Ból malujący się na twarzy Libby sprawił, że Peter nie miał pojęcia, co odpowiedzieć.

- Najlepsze, co możesz zrobić dla nas obojga, to zapomnieć, że kiedykolwiek nas poznałeś.

Gdy następnego ranka wchodził do przychodni z nadzieją, że zdoła jeszcze wypić kawę przed przyjęciem pierwszego pacjenta, recepcjonistka przywołała go do swojego biurka.

- Doktorze, przed chwilą dzwoniła Libby Brown. Ruth miała zostawić dla niej receptę, ale zapomniała.

Peter spędził bezsenną noc, nie przestając myśleć o Libby. Kiedy teraz o niej usłyszał, poczuł się, jakby ktoś polewał mu spirytusem otwartą ranę.

- To nie jest moja pacjentka - odparł spokojnie.

- Wiem, tylko...

- Niech pani przypomni Ruth o recepcie, jak tylko się pojawi.

- Tylko że ona wzięła wolne aż do świąt, a Libby nie może tak długo czekać.

- No dobrze - mruknął niechętnie, odbierając kartę z rąk rejestratorki.

Zdziwiło go, że przeglądając historię jej leczenia, czuł się wyraźnie skrępowany, jakby próbował odkryć jej najskrytsze tajemnice. Najwyraźniej nic jej nie dolegało. Zdziwiło go jedynie, że przyjmuje środki hormonalne, by wyregulować cykl. Zaintrygowany, przejrzał dokumenty po raz drugi. W końcu odszukał ankietę, którą pacjenci dostają do wypełnienia przy pierwszej wizycie. Na pytanie, czy kiedykolwiek była w ciąży, Libby odpowiedziała „nie”.

Peter zerwał się z krzesła i pobiegł po kartę Kyle'a. Tam Elizabeth Brown figurowała jako matka dziecka.

Siedząc przy biurku, wpatrywał się tępym wzrokiem w ścianę. Dlaczego Libby miałyby ukrywać ciążę, skoro i tak wszyscy wiedzą, że ma dziecko? Chyba że...

Wrócił do recepcji.

- Proszę zadzwonić do pani Brown i powiedzieć, żeby do mnie przyszła, jak tylko się pojawi w szpitalu. Mam pewien problem z tą receptą.

- O co chodzi? - zapytała Libby, kiedy godzinę później znalazła się w jego gabinecie.

- Muszę z tobą porozmawiać.

- Chyba już wszystko sobie wyjaśniliśmy.

Spojrzał na nią z powątpiewaniem.

- Chciałbym wiedzieć, jakim cudem E. Brown, która była w ciąży, stała się Elizabeth Brown, która nigdy nie urodziła dziecka?

Libby poczuła zawrót głowy.

- Moja siostra, Elaine, była matką Kyle'a. Kiedy umarła, zajęłam jej miejsce - wyjaśniła.

Peter odetchnął z ulgą. Nie musi więc już pytać, czy kochała Bryce'a.

- To znaczy, że go adoptowałaś?

Libby nerwowo kręciła koniec paska torebki.

- Bryce kazał Elaine zniknąć ze swojego życia. Kiedy była w trzecim miesiącu, spotkała przypadkiem jego znajomego i wpadła w panikę, że dowiedzie się, iż go oszukała, i zażądać dziecka. Przeprowadziłyśmy się do Illinois. Przy przyjęciu do szpitala Elaine podała moje imię.

- Więc w metryce urodzenie figurujesz jako naturalna matka Kyle'a.

- Przez cały czas mieszkaliśmy razem, ale dowiedziałam się o wszystkim, dopiero gdy Kyle poszedł do przedszkola - ciągnęła ze łzami w oczach - Elaine zrobiła to nie bez powodu. Nie mogłam jej zawieść, dlatego nikomu nic powiedziałam. Już od dawna nie myślę o Kyle'u jak o siostrzeńcu. Nawet gdybym urodziła jeszcze pięcioro dzieci, i tak na zawsze pozostanie moim synem.

- Czy miałeś zamiar mi o tym kiedyś powiedzieć?

- Tak, zaraz po wypadku, ale nie miałam okazji - odrzekła zboląłym głosem.

Peter poczuł przypływ wzruszenia. Podał Libby receptę.

- Chcesz dla Kyle'a jak najlepiej, prawda?

- Oczywiście - powiedziała, wstając - Tylko, niestety, nie mogę się z tobą zgodzić, co jest dla niego najlepsze. Mam wrażenie, że me z tego, co mówię, me jest w stanie cię przekonać.

Wybiegła z gabinetu, zanim zdążył otworzyć usta. Gdyby tylko zechciała uwierzyć, że nie jest jej wrogiem. Żąda od niego, by zachował milczenie, lecz tego właśnie nie mógł uczynić. Musi mieć na względzie dobro Kyle'a, jego rozwój fizyczny i psychiczny. Rozmowa z Bryce'em pomoże mu pogodzić się z chorobą, więc choćby dlatego, że jest lekarzem, musi przyznać się do spotkania ojca i syna.

Otworzył notes i wykręcił numer telefonu brata.

- Mam nadzieję, że siedzisz - powiedział.

- Owszem, ale dlaczego?

- Pamiętasz Elaine Brown - Milczenie, jakie zapanowało w słuchawce, powiedziało mu, że brat słucha go w skupieniu.

- Nie usunęła tamtej ciąży To inna kobieta poddała się zamiast niej zabiegowi

- Masz pewność' - Głos Bryce'a drżał z emocji

- Całkowitą Chłopiec ma twoje rysy, ten sam kolor włosów, a nawet odziedziczył po tobie von Willebranda

- Mój Boże, mam syna - zawołał Bryce z zachwytem - Jak go odnalazłeś

- Przez przypadek

Peter zrelacjonował bratu całą historię

- Przyjeżdżam za kilka godzin

- Poczekaj chwilę Libby chyba nie spodoba się ten pomysł
Zostaw mi trochę czasu

- Niestety, braciszku Mów, co chcesz, ale muszę zobaczyć syna I to jeszcze dzisiaj

Po raz, pierwszy od czasu, kiedy poznał tajemnicę Libby, Peter zastanowił się, czy aby rzeczywiście nieopatrzenie nie otworzył puszkę Pandory

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

- Powtórz to. - Sylvia była kompletnie zdruzgotana.

- Straciłam pracę. Podobno liczba personelu jest zbyt wysoka w stosunku do liczby pacjentów, więc część pracowników musi odejść - wyjaśniła Libby.

- Absurd. A już żadnym wypadku nie wolno im zwalniać rodziców samotnie wychowujących dzieci.

- Brali pod uwagę tylko staż pracy. Ci, co pracują najkrócej, dostali wypowiedzenia razem z dzisiejszą wypłatą. Ostatni dyżur mam trzydziestego pierwszego grudnia. Przyjemny koniec roku, prawda?

Zaczynała wierzyć, że nieszczęścia rzeczywiście chodzą parami. Dzisiaj Peter odkrył prawdę na temat Elaine, i do tego straciła pracę. Może do końca tygodnia nie powinna w ogóle wychodzić z domu?

- Co zamierzasz teraz zrobić?

Podniosła do ust kubek kakao.

- Najbardziej odpowiada mi praca na oddziale, ale skoro St. Nick's jest jedynym szpitalem w okolicy, pozostają mi domy pomocy albo opieka nad chorymi w domu. Niestety, tego typu zajęcia są gorzej płatne, ale chwilowo nie stać mnie na wyrzucanie. Może będę musiała sprzedać dom i przeprowadzić się do innego miasta.

- Mam nadzieję, że do tego nie dojdzie. Bardzo by mi was brakowało.

- Nam ciebie też. Przecież Kyle traktuje cię jak prawdziwą babcie.

- Nic poza tym nie zatrzymuje cię w Belleville?

- Masz na myśli Petera? Obawiam się, że nie.
- Dowiedział się o Kyle'u, tak?
- Właśnie. - Libby odstawiła kubek.
- Ico?
- Tak jak sądziłam, chce zawiadomić Bryce'a, mimo że jestem temu przeciwna. - Libby wstała z miejsca i zaczęła przemierzać nerwowo kuchnię Sylvii. - Sama widzisz, że nie mogę mu wierzyć, skoro nawet w tym wypadku nie chce mnie zrozumieć. Na pewno stanie po stronie brata.

Sylvia ze smutkiem pokiwała głową.

- A już miałam nadzieję, że nareszcie znalazłaś kandydata na męża.

- Ja też - przyznała Libby i obawiając się, że zaraz wybuchnie płaczem, zmieniła temat. - Nie mówmy już o mnie. Dzięki, że przetrzymałaś u siebie rower. Kyle powinien się naprawdę ucieszyć, szczególnie że po wypadku jego stary rowerek zupełnie nie nadaje się do jazdy.

- Chciałabym wiedzieć jego twarz, jak zobaczy to чудо.

- A propos niespodzianek. Wszystko gotowe na spotkanie Ralpha z synem?

Sylvia spojrzała na zegarek.

- Musimy się pośpieszyć. Tim ma przyjechać za piętnaście minut.

- Nie boisz się, że może się nam nie udać? - zapytała Libby w drodze do sąsiada.

- Trochę, ale przez cały czas będę trzymała kciuki.

- To jaki dokładnie jest ten twój plan?

- Tim ma przyjechać o drugiej. Wpuszczę go do środka, a ty tymczasem będziesz dotrzymywać Ralphowi towarzystwa.

- A jeśli Ralph go wyrzuci?

- Wykluczone, już moja w tym głowa. Pochowałam wszystkie ciężkie przedmioty, które mogły się znaleźć w zasięgu jego rąk.

- Jakim cudem?

- Po prostu dziś rano odkurzyłam mu pokój.
- Nie zdziwi się, jak tak nagle wpadniemy na kawę?
- Bynajmniej. Zwykle jemy coś małego właśnie o tej porze.

Dlatego kazałam Timowi przyjechać o drugiej.

- Boże, jakaś ty przebiegła.

Sylvia otworzyła drzwi. Po chwili kuchnię Ralpha wypełnił zapach kawy i ciasta domowej roboty.

Zadźwięczał dzwonek przy drzwiach.

- Pójdę otworzyć. To pewnie jakiś domokrażca. - Sylvia wstała z krzesła. Przez ułamek sekundy po jej twarzy przemknął wyraz paniki.

- Powiedz, że niczego nie potrzebuję. - Ralph pochylił się w kierunku Libby. - Oni wszyscy są przekonani, że emeryci siedzą na forsie. Zamiast łązić po domach, powinni się wziąć za coś pożytecznego.

- Ralph, masz gościa - obwieściła Sylvia od drzwi.

- No to go tu przyprowadź

- Poczekaj, Ralph - wtrąciła Libby. - Chyba nie chcesz przyjmować gości w kuchni. Lepiej przenieśmy się do pokoju.

- Jak komuś nie odpowiada moja kuchnia, może tu w ogóle nie przychodzić.

- Może i tak, ale Sylvia jest innego zdania. - Nie czekając na zgodę, Libby popchnęła wózek. Ledwie znaleźli się w drzwiach, Ralph zeszywniał.

- Tim? - wykrztusił z niedowierzaniem.

Przed nim stał wysoki, trzydziestoparoletni mężczyzna ubrany w narciarską kurtkę.

- Cześć, tato. Wesołych Świąt.

- Nie do wiary! - Ralph był kompletnie oszołomiony.

- Słyszałem, że miałeś wypadek, więc przyjechałem cię zobaczyć.

- I sprawdzić, czy daleko mi jeszcze do grobu, tak? - wybuchnął ojciec.

Sylvia rzuciła się ratować sytuację.

- Wiesz, Ralph, jesteś po prostu okropny. Przepróż go natychmiast albo do końca życie nie odezwę się do ciebie słowem!

Tim ujął ją za ramię.

- Przykro mi, proszę pani. Nie powinienem był tu przyjeżdżać - powiedział i skierował się do wyjścia.

- Zostań - odezwał się Ralph ponuryrn głosem - bo inaczej do końca życia nie zaznam spokoju.

Tim przystanął.

- Naprawdę chcesz, żebym został?

- Tak - zapewnił ojciec.

Mężczyzna usiadł na brzegu kanapy.

- Nic się tu nie zmieniło. Masz nawet to krzesło, które mama chciała sprzedać, kiedy wyjechałeś.

- Na szczęście wróciłem przed czasem.

Zapadło pełne napięcia milczenie.

- Jak dobrze cię znowu zobaczyć, tato.

- Dziękuję, że przyjechałeś. - W oczach Ralpa pojawiły się łzy wzruszenia.

Nie chcąc im teraz przeszkadzać, Libby dyskretnie usunęła siędo kuchni. Na odchodne pomachała Sylvii i ruszyła do domu.

Rzeczywiście, święta goją stare rany, pomyślała, zdejmując płaszcz. Sylvia pogodziła się z Ralphem, teraz Ralph pogodził się z synem. Tylko jej nie przytrafiło się nic miłego.

Energiczne pukanie do drzwi wyrwało ją z zadumy. Sądząc, że to Sylvia z najnowszymi wieściami, bez pytania otworzyła drzwi i zamarła z wrażenia. Na progu stał Peter w towarzystwie innego mężczyzny. Ich podobieństwo było tak uderzające, że natychmiast domyśliła się, kim jest nieznajomy. Spróbowała zatrzasać drzwi, ale Peter zablokował je stopą.

- Libby, chcemy tylko porozmawiać.

- To znaczy przedstawić mi swoje warunki, tak?

Zdawała sobie sprawę, że wiedząc o niej wszystko, Bryce znajduje się w znacznie korzystniejszej sytuacji.

- Nie będzie żadnych warunków, żadnych grózb.

- Nie wierzę. Zostawcie mnie samą.
- Nigdzie nie pójdziemy. Będziemy tu stać całą noc, jeśli nas nie wpuścisz.

Spojrzała na zegarek. Zbliżała się trzecia.

- Kyle wraca do domu za pół godziny. Za piętnaście minut ma was tu już nie być - rzekła, otwierając drzwi.

- Zgoda.

Obaj mężczyźni zajęli miejsca na kanapie. Libby przestawiła krzesło i usiadła naprzeciwko. Na szczęście, w codziennych spodniach i bawełnianej kraciastej koszuli Bryce nie straszyl wyglądem bezwzględne go biznesmena. Zauważyła, że rozgląda się krytycznie po pokoju. Nie życząc sobie komentarzy na temat zniszczonych mebli, zwróciła się do Petera:

- Widzę, że nie traciłeś czasu.

- To przeze mnie - wyjaśnił Bryce spokojnie. - Jak tylko Peter zadzwonił, poczułem, że muszę tu natychmiast przyjechać. Przykro mi z powodu Elaine. Była niezwykłą osobą.

- Nie na tyle, żeby się z nią ożenić - odparowała.

Bryce opuścił wzrok.

- Popełniłem w życiu sporo błędów, a teraz jest za późno, żeby je naprawić.

Akurat, pomyślała z niechęcią.

- Dziesięć lat temu dobrowolnie zrzekł się pan praw do dziecka. Gdyby panu przyszło do głowy teraz to zmienić, może być pan pewien, że się nie zgodzę - oznajmiła.

- Chciałbym zobaczyć Kyle'a - powiedział Bryce.

- Nie zgadzam się.

- Chcę go tylko zobaczyć. Nie powiem mu, kim jestem.

- Nie.

- Przedstawię Bryce'a jako swojego kuzyna, który cierpi na tę samą chorobę, co on - zaproponował Peter.

- Nie.

- Dlaczego jesteś taka uparta?

- Dzięki temu uporowi daliśmy sobie radę, kiedy zostaliśmy

sami, bez rodziny i przyjaciół. Jeśli dziś przystanę na waszą prośbę, jutro Bryce zażąda czegoś więcej. Przewiezie Kyle'a samochodem i zanim się obejrzę, będą razem spędzali weekendy na ranchu Caldwellów. - Zwróciła się bezpośrednio do Bryce'a : - Spełniłyśmy pana warunki. Elaine nie ujawniła, kto jest ojcem dziecka i nie żądała pieniędzy. Nie ma pan teraz prawa wkraczać w nasze życie. Proszę zostawić nas w spokoju.

- Na razie nie zastanawiałem się nad przyszłością. Nie podjąłem jeszcze żadnej decyzji. Chcę tylko zobaczyć mego... Kyle'a.

Gdyby powiedział „syna”, z pewnością wyrzuciłaby go za drzwi. Przynajmniej w tym wypadku zachował odrobinę przyzwoitości. Determinacja Libby zaczęła nieco słabnąć.

- Powinniście byli zostać prawnikami.

- Ja jestem prawnikiem - wyjaśnił Bryce, wyraźnie zmieszany.

- Tylko nie to! - jęknęła.

- Ale specjalizuję się prawie handlowym - wyjaśnił.

Libby spojrzała na zegarek.

- Panowie, wasz czas się skończył.

Peter podniósł się z miejsca.

- Może jednak, Libby? - zapytał.

- Nie będę nalegać - przerwał mu Bryce. - Dziękuję, że poświęciła nam pani swój czas. Gdyby zmieniła pani zdanie - wręczył jej wizytówkę - na odwrocie jest numer mego prywatnego telefonu.

Libby włożyła wizytówkę do kieszeni spodni.

- Może przynajmniej pokaże mi pani jego zdjęcie.

Libby przyjrzała mu się uważnie. W końcu uznała, że tyle może dla niego zrobić.

- Proszę zaczekać. Zaraz przyniosę.

Udała się do sypialni.

- Zostało zrobione jesienią - wyjaśniła, podając Bryce'owi fotografię.

Nie mógł oderwać wzroku od zdjęcia

- Świetny chłopiec. Może być pani z niego dumna - powiedział w końcu. Słowa Bryce'a zabrzmiały tak skromnie i szczerze, że Libby poczuła, jak mięknie jej serce.

Zanim mężczyźni zdążyli opuścić dom, drzwi otworzyły się z hukiem i Kyle wpadł jak oszalały do środka.

- Cześć, mamó. Co to za rower? O, Pete! Dzień dobry.

- Jaki rower? - Libby rozejrzała się niespokojnie.

- Ten, który stoi na werandzie. Górski, z dziesięcioma przerzutkami.

Twarz Bryce'a powiedziała Libby wszystko. Tego właśnie się obawiała. Jeszcze zanim poznał Kyle'a, zaczął obsypywać go kosztownymi prezentami.

Jak mogłeś - pomyślała, patrząc z wyrzutem na Petera, który właśnie podszedł do chłopca.

- Chciałbym ci przedstawić Bryce'a. Jest moim stryjecznym bratem. Wspominałem ci o nim. Też ma chorobę von Willebranda.

- Dzień dobry, panie Caldwell.

- Mów do mnie Bryce.

- Dobrze - Kyle przeniósł wzrok na matkę - Mamó, czyj jest ten rower?

- To ja go kupiłem. Dla ciebie - wyjaśnił Bryce.

Oczy Kyle'a zrobiły się okrągłe ze zdziwienia.

- Naprawdę?

Libby zacisnęła pięści, starając się zachować kamienny wyraz twarzy.

- Tak, tylko nie miałem jeszcze okazji zapytać twojej mamy, czy nie ma nic przeciwko temu, żebym ci go podarował. Peter mówił mi, że miałeś wypadek i boisz się teraz jeździć. Ja też kiedyś spadłem z roweru i długo me mogłem pokonać strachu.

- Mamusiu, mogę go przyjąć?

- Sama me wiem.

- To przynajmniej chodź go zobaczyć.

Był to rzeczywiście najładniejszy rower, jaki kiedykolwiek widziała. Bryce na pewno nie kupił go na wyprzedazy. Pomyślała ze smutkiem, że jej samej nigdy nie byłoby stać na takie cudo.

- Jest bardzo ładny, ale za wysoki - powiedziała w końcu.
- Wcale nie - zaprotestował Kyle, chwytając za kierownicę.
- Nie możesz przyjmować tak drogich prezentów od obcych ludzi.

- Ale Bryce wcale nie jest obcy. Przecież jest krewnym Petera - oświadczył Kyle z właściwą sobie logiką.

- Mama ma rację, ale zanim go zwrócę do sklepu, może przynajmniej pozwoli ci się przejechać.

- Mamusiu, mogę?

- Tylko po podjeździe. - Na widok uszczęśliwionej miny synka omal nie pękło jej serce. Rower, który chciała mu podarować na gwiazdkę, na pewno nie wywołałby takiego entuzjazmu.

- Skoro pan Caldwell chce ci go podarować, to sędzę, że możesz go przyjąć.

Peter i Bryce przyjęli jej decyzję z wielką ulgą. Kyle wydał z siebie dziki okrzyk radości.

- Tylko musisz bardzo o niego dbać i zawsze zamykać na noc.

- Zarejestruję go na policji - zapewnił chłopiec. - Mogę się jeszcze raz przejechać?

- Nie dalej niż do rogu.

- Mogę pójść popatrzeć? - zapytał Bryce. - Pomogę mu ustawić siodełko.

- Pobiegnę po klucze - zadeklarował Kyle.

Libby bez słowa wróciła do domu. Uklękła przy choince i wyjęła spod niej pudełeczko wielkości chusteczki do nosa. Rozerwała wstążeczkę. Zanim zdążyła się zorientować, co się dzieje, Peter wyjął jej z rąk paczuszkę.

- Oddaj mi ją! - zażądała.

- Dopiero jak się dowiem, co jest w środku.

Otworzył pudełko. Wewnątrz leżało zdjęcie roweru.

- Tak mi przykro. Nie wiedziałem.

- Bo nie raczyłeś zapytać! - Z furią wyrwała mu z rąk fotografię i podarła ją na drobne kawałki. - Wprawdzie to tylko używany rower, ale miałam szczęście, że udało mi się go dostać. Choć teraz to już nie ma żadnego znaczenia.

- Przepraszam.

Libby zalała się łzami. Jej nadzieje na udane święta legry w gruzach.

- Co mu jeszcze kupicie? Kucyka? Samochód?

Peter spróbował ją objąć.

- Zostaw mnie - zaprotestowała.

- Nie mogę.

- Wiedziałeś, że nie pozwolę Bryce'owi spotkać się z Kyle'em?

- Owszem.

- I dlatego przyszliście tuż przed jego powrotem do domu, tak? Ja też chciałam podarować Kyle'owi coś szczególnego. Rower, który dla niego wybrałam, na pewno by go ucieszył, tylko nie teraz. A mnie nigdy nie będzie stać na tak drogie prezenty. Szczególnie że dostałam dziś wymówienie.

- Słyszałem.

- A może uknułicie to razem z Eldonem, żebym tym chętniej przyjęła waszą łapówkę?

- Dobrze wiesz, że nie. Przecież cię ostrzegałem, że szykują się zwolnienia.

W duchu musiała przyznać mu rację.

- Teraz, skoro Bryce i Kyle i tak się poznali, pozwolisz im się spotykać?

- A mam wybór? Przecież i tak nie liczycie się z tym, co mówię.

- Obiecuję, że nie stracisz Kyle'a. Już wczoraj ci to mówiłem.

- Chciałabym ci uwierzyć, ale nie mogę.

- W porządku. Tylko wiedz, że nie zostawię cię w spokoju,

dopóki nie nabierzesz do mnie zaufania. Mamy przed sobą całe życie. Nie chcę dłużej być sam. Samantha też chce mieć matkę. Dlatego zrobię wszystko, żebyś mi uwierzyła. I jeszcze raz powtarzam: nie stracisz Kyle'a.

Libby ujrzała słaby cień nadziei.

- Bryce nie mówił ci, co zamierza zrobić?

- Nie, ale...

- To nie czyń obietnic w jego imieniu. Skąd możesz wiedzieć, co zadecyduje? Chyba że... - Czarne myśli zaczęły się kłębić w jej głowie. - Chyba że jesteście w zмовie.

- O czym ty mówisz?

- Przecież to jasne jak słońce. Chcesz się ze mną ożenić i tym samym zagwarantować Bryce'owi wolny dostęp do dziecka, bez całego niepotrzebnego szumu, który mógłby rzucić cień na waszą rodzinę.

Tym razem przesadziła. Peter aż się zatrząsł z gniewu.

- Tak długo nienawidziłaś Bryce'a, że nie dostrzegasz, jak bardzo się zmienił. Jakbyś sama nigdy w życiu nie popełniła błędu! Kilka tygodni temu powiedziałaś, że święta zblizniają stare rany i rodzą nadzieję. Miałaś rację, tylko że dotyczy to jedynie tych, którzy potrafią otworzyć serce.

Zanim zdążyła odpowiedzieć, Kyle i Bryce wrócili do domu.

- Peter, czas na nas, Kyle musi odrobić lekcje. - Bryce wyczuł napięcie unoszące się w powietrzu. - Dziękuję, że pozwoliła mi pani poznać Kyle'a - dodał na pożegnanie.

- Chyba nie poszło najgorzej? - spytał Bryce, gdy znaleźli się na ulicy.

- Fakt, nie wezwała policji, żeby nas wyrzucić.

- Libby wiele dla ciebie znaczy, prawda?

- Owszem.

- Domyśliłem się.

- Tylko że ona uważa, że chcę się z nią związać, żeby ułatwić ci kontakty z synem.

- Całkiem logiczne rozumowanie.
- Nazwała twój prezent łapówką.
- Wcale się nie dziwię. Kiedy zobaczyłem, jak skromnie mieszkają, sam doszedłem do wniosku, że nieco przesadziłem.
- Co teraz zamierzasz zrobić? - zapytał Peter, mając przed oczami zbolałą twarz Libby.

Bryce zamyślił się.

- Sam nie wiem. Kiedy zadzwoniłeś, od razu pomyślałem, że zabiorę go do domu. Ale muszę się jeszcze zastanowić. Już raz podjąłem pośpieszną decyzję. Nie zamierzam popełnić następnego błędu.

- Obiecałem jej, że nie straci Kyle'a.

- Próbujesz mnie ostrzec?

- Nie, tylko cię informuję. Powiedziałem ci, że masz syna, bo uważam, że możesz mu pomóc uporać się z chorobą. Poza tym wiedziałem, jak bardzo załujesz tego, co zrobiłeś. Tylko że dla dobra Kyle'a Libby zrezygnowała z wielu rzeczy i nie pozwolę, żeby jej poświęcenie poszło na marne.

- Więc uważasz, że powinienem się usunąć? Udawać, że nie istnieję?

- Nie, ale jeśli postanowisz założyć sprawę o prawo do wychowywania Kyle'a, wiedz, że nie stanę po twojej stronie.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

W dzień Wigilii Libby postanowiła spędzić przerwę na lunch na oddziale noworodków. Nie była w stanie słuchać kolęd śpiewanych się z głośników w bufecie. A niemowlęta przynajmniej nie zauważają, że nie udzielił jej się dziś świąteczny nastrój.

- Przyszłaś obejrzeć moje skarby? - powitała ją Rhonda, przewijając trzykilogramowego brzdąca. - Mam pełne ręce roboty. Chyba dlatego, że w marcu była burza śnieżna i mało kto wychodził wtedy na dwór - zażartowała.

- Widzę. A gdzie jest mały Paulsen? - zapytała Libby.

- Wypisaliśmy go dziś do domu.

- Nie wyglądasz na uradowaną.

Rhonda westchnęła.

- Niby powinnam się cieszyć, wątpię jednak, żeby jego matka wytrzymała bez narkotyków. Podobno zapisała się na kurację odwykową, ale...

- Nie bardzo jej wierzysz?

- Zbyt wiele w życiu widziałam. Są ludzie, którzy nie budzą we mnie zaufania.

- Nie próbuję jej bronić, ale może się zmienić. Bywają i takie wypadki.

- Bardzo rzadko.

- A jak się zachowywała w stosunku do małego? Okazała choć raz, że go nie chce?

- Nie. Nawet słuchała z uwagą, kiedy doktor Caldwell zrobił jej wykład na temat matczynej odpowiedzialności.

- Widzisz, może będzie chciała zacząć od nowa.

W tym momencie zdała sobie sprawę, że jej stosunek do Bry-

ce'a Caldwell nie wiele się różni od stosunku Rhondy do młodej narkomanki. Cały czas pamiętała o jego dawnych postępkach i nie chciała przyjąć do wiadomości, że istotnie się zmienił.

Wieczorem Kyle czytał u siebie książkę, a Libby próbowała uporządkować myśli - toteż ucieszyła się na widok Sylvii. Może powinna zaufać jej doświadczeniu.

- Przecież w głębi serca znasz odpowiedź - rzekła Sylvia łagodnie. - Patrzyłaś na świat oczami siedemnastoletniej dziewczyny, nienawidzącej człowieka, który skrzywdził jej siostrę. Jak sądzę, obwiniasz go także o to, że odebrał ci szansę na lepszą przyszłość.

Rzeczywiście, nie było jej łatwo zrezygnować ze studiów.

- Chyba masz rację.

- Tylko że nie jesteś już tamtą dziewczyną, a z tego, co mówisz, Bryce także się zmienił.

Libby zastanowiła się. Przed laty Bryce był aroganckim, zadufanym w sobie młodzieńcem. Człowiek, którego poznała przed kilkoma dniami, sprawiał wręcz odwrotne wrażenie. Co prawda, metoda jego działania nie przypadła Libby do gustu, jednak musiała przyznać, że przynajmniej nie próbował jej zastraszyć.

Jeśli chodzi o Petera, też się pomyliła. Dopóki go bliżej nie poznała, sądziła, że jest człowiekiem o lodowatym sercu.

- Może byłam trochę za surowa dla Petera - odezwała się w końcu.

- Trochę? - Sylvia aż uniosła brwi ze zdziwienia. - Wciąż wierzysz, że chciał się z tobą pogodzić tylko z jednego powodu.

- Sama już nie wiem.

- To przypomnij sobie, kogo wezwałaś na pomoc, kiedy Kyle miał wypadek. I kto mu pomógł, jak się zadławił?

- Peter.

- I nadal uważasz, że mógłby skrzywdzić Kyle'a?

Rzeczywiście, skoro zawierzyła mu życie synka, czy powin-

na wątpić w jego zapewnienia, że nie pozwoli odebrać jej dziecka? Miał rację, gdy powiedział, że święta cieszą jedynie tych, którzy potrafią otworzyć serca, i uczynił to dla dobra córki. Może i Libby powinna pójść w jego ślady... - Bardzo mi pomogłaś - podziękowała Sylvii.

- Nie ma sprawy. A propos, słyszałaś, że nasze osiedle zajęło trzecie miejsce w konkursie?

- Naprawdę?

- Ralph twierdzi, że to jedynie dzięki gwieździe, którą umieścił na dachu. - Spojrzała na zegarek. - Muszę już lecieć. Obiecałam, że wpadnę do niego o ósmej.

- Najwyraźniej nie możecie żyć bez siebie - zażartowała Libby.

- W naszym wieku, drogie dziecko, nie mamy czasu do stracenia. A na twoim miejscu też bym się pośpieszyła...

Po chwili wahania Libby podjęła decyzję.

- Idę na chwilę do Petera - poinformowała Kyle'a.

Chłopiec natychmiast wybiegł z pokoju.

- Mogę iść z tobą?

- Chcę z nim tylko porozmawiać.

- Pogodzicie się?

- A kto ci powiedział, że się gniewamy?

Kyle wzruszył ramionami.

- Wystarczy na was spojrzeć.

- Nie gniewam się na Petera, choć muszę przyznać, że zostało nam kilka kwestii do wyjaśnienia.

- Weź mnie z sobą, proszę.

- Ale tylko pod warunkiem, że zostawicie nas samych.

Kilka minut później, opatuleni po uszy, zapukali do drzwi wiktoriańskiego domu. Libby bezwiednie ścisnęła dłoń syna.

- Mamo, bo mi połamiesz palce - zaprotestował.

- Przepraszam, kochanie.

Poczuła, że kręci jej się w głowie. Po co tu przyszła?

- Przepraszam za najście, w dodatku w samą Wigilię - za-

częła, gdy Peter otworzył drzwi. Widząc, że oboje z Samantha ubrani są do wyjścia, pocałowała, że wcześniej nie zadzwoniła.

- A może wpadniemy innym razem, bo chyba gdzieś idziecie?

- Proszę, wejdźcie. Właśnie się do was wybieraliśmy.

- Naprawdę?

- Sam, idźcie z Kyle'em w coś pograć.

Dzieci wymieniły porozumiewawcze spojrzenia.

- Już nas nie ma.

Peter pomógł Libby zdjąć płaszcz.

- Co cię do mnie sprowadza? - spytał już w salonie.

- Chciałam cię prosić o pewną przysługę.

- Słucham.

- Przekaż Bryce'owi, że może widywać Kyle'a, kiedy zechce. - Spodziewała się dojrzeć choć cień aprobaty, lecz twarz Petera pozbawiona była wyrazu.

- A skąd ta zmiana? - zapytał, zakładając nogę na nogę.

- Powiedziałaś, że nie utracę Kyle'a. Wierzę ci.

- Jesteś tego pewna, czy jutro znów zmienisz zdanie?

- Przepraszam, że w ciebie zwątpiłam, że byłam niesprawiedliwa. Wiem, że nie możesz mi przebaczyć, ale...

- Kto mówi, że nie mogę?

Chwycił ją w ramiona i gorąco pocałował. Libby poczuła, że ogarnia ją ciepło, za którym od tak dawna tęskniła.

- Nawet nie wiesz, jak się cieszę...

- Dlatego, że cię przeprosiłam?

- Rozwiązałaś za mnie bardzo trudny problem.

- Nie rozumiem.

- Znajdziesz coś dla siebie w skarpecie przy kominku.

- Jeszcze za wcześnie.

- Wigilia to prawie święta.

Wziął ją za rękę i wskazał na skarpetę, na której złotą nicią wyhaftowane zostało jej imię. Libby sięgnęła do środka i wydobyla dużą białą kopertę. Zawierała ona notarialnie potwierdzone oświadczenie, w którym Bryce zrzekał się praw do syna.

- Czy ja śnię? - Nie wierzyła własnym oczom.
 - Bryce chce tylko od czasu do czasu móc widywać chłopca jako przyszywany wujek.

- A... dlaczego wujek?

- Dowiedział się, że ja chcę zostać ojcem Kyle'a.

W jego oczach Libby zobaczyła dobroć i miłość.

- Naprawdę nadal tego pragniesz?

Ujął jej twarz w dłoń.

- Oczywiście. A jeszcze bardziej chcę, żebyś została moją żoną. Nie przypuszczałem, że po tym, co w życiu przeszedłem, potrafię jeszcze tak kochać. Uzdrowiłaś mnie.

- A ty mnie. Obiecuję, że zrobię, co w mojej mocy, żeby zaprzyjaźnić się z Bryce'em.

- Wiem.

- Posłuchaj, Sam kupiła prezent dla Kyle'a, ale ja jeszcze nie.

- Już po ósmej. Sklepy są zamknięte - przypomniała mu.

- Tylko że tego prezentu i tak nie można kupić.

- Co masz na myśli? - zmarszczyła brwi.

- Kyle prosił Mikołaja o pełną rodzinę. - Peter uśmiechnął się czułe. - Taką składającą się z ciebie, ze mnie, jego samego i z Samantha.

Twarz Libby pojaśniała jeszcze bardziej.

- Zgadzam się na taki prezent. Kiedy im powiemy?

Na schodach rozległ się tupot nóg i podekscytowane okrzyki.

- Obawiam się, że ktoś nas podsłuchiwał - dodał Peter. - W tym roku nie będzie niespodzianek.

Dzieci wpadły z hałasem do pokoju. Tuląc się do nich i śmiejąc, Peter i Libby wymieniali pełne miłości spojrzenia. Zrozumieli, że dla wszystkich nadeszły wreszcie prawdziwe święta.